11493

III

Bi

Ujejski Kornel

„Moja autobiografia"

Pawłów, 15 sierpnia 1888.

Moja autobiografia.

Chcesz, masz — a dla Ciebie tylko!

Ja, Twój przyjaciel, urodziłem się 12 września 1823 w Beremianach, na naszem Podolu. Rodzicami moje- mi Erazm i Ludwika z Wolań- skich Ujejscy. Dopiero mój dziad Piotr przeniósł się na Ruś czer- woną. Przodkowie moi, zacząwszy od Bolesławowego Szreniawity, gnieź- dzili się w Województwie Krakow- skiem. Jeszcze mój pradziad Józef, Stolnik sandomirski i jeden z re- gimentarzy Konfederacyi barskiej posiadał znaczne dobra w Tar- nowskiem.

Beremiany, to cudowna wieś i jakby stworzona na kolebkę dla poety. Strypa z Dniestrem łączą się na jej gruntach. Obie rzeki płyną między górami lasem pokrytemi lub skałami. W klinie, na górze, sterczą chatami

Berezniany. A za tą wsią pła-
szczyzna pofalowana żyznej, podol-
skiej ziemi i dębowe lasy, takie
rzadkie na Podolu. W tych naszych
lasach i na polach rozrzucone są
starożytne wojenne mogiły. Mój
ojciec odgrzebywał w środku wsi
groby, gdzie broń znajdował krze-
mienną. Archeolog Kirkor temu
lat ~~ośm~~ odnalazł pogańskie
cmentarzysko i wał okrążający
dawną gontynę; z grobów wywiózł
do muzeum w Krakowie wiele
ozdób bronzowych i czaszki na-
szych protoplastów. Góra nad Strypą,
gdzie to cmentarzysko, nazywa się
Orlisko. Podobno z tej góry wy-
rosłem. No, w udanej skromności
spuszczam oczy przy tem.
Było nas czterech braci w domu
i piąty jakby rodzony, syn mego
stryja i zmarłej przy połogu
ciotki. Ja byłem najstarszy. Jako

pierworodny pieszczony byłem, a już
fanatycznie do końca jej życia
przez moją babkę: Chorążynę Teresę
z Witwickich Wolańską. Umarła
dopiero w r. 1852 doczekawszy się wnu-
ków odemnie. Uczyłem się w domu
przy nauczycielu, który nazywał się
Podlaszecki. Pierwszym moim serdecznym
przyjacielem był Antoś Steblecki,
syn księdza ruskiego z Bereziankach.
Ztąd może, mam miłość dla na-
rodu ruskiego ztąd wiarę niezachwianą.
Chrzcił mnie X. Łuszczyń-
ski, proboszcz naszej parafii w Ja-
złowcu, którego ruiny zamku nazy-
wają Palmirą polską.
W r. 1831 mając lat osiem, widywałem
często w domu rozbitków z korpusu
Dwernickiego, oficerów od krakusów
i ułanów, przyjeżdżających do nas
konno w pełnych mundurach.
Przypominam sobie, że nawet u nas
w stodole kilkadziesiąt żołnierzy
polskich przez parę dni biwako-
wało. Pamiętam sagany z kaszą

mlekiem, które do stodoły wnoszono.
Był pokoik gościnny w dalszym domu; tam zamknąłem się i ułożyłem w myśli dwa pierwsze poemaciki patriotyczne, które potem wielkiemi literami spisałem. W jednym z nich znajdowały się dwa takie wiersze, które pamiętam:

Podajcie mi, ach czółenko,
Niech do mych braci płynę!

Zapewne Dniestrem chciałem się dostać do Warszawy. Jakże nie znałem geografii. Droga moja matka wyszperała kartki tych wierszy pod moją poduszką i jeździła potem z niemi po sąsiedztwie. Mając lat ośm już miałem wietrzną sławę.

Oddano mnie wkrótce do szkół publicznych do Buczacza. Tam u XX. Bazylianów studjowałem dwie ostatnie klasy normalne i zacząłem pierwszą gimnazjalną. W tym Buczaczu nowe dla mnie cuda. Zamczysko stare na górze, gdzie wdrapywałem się

2/ Moja autobiografia 4

do zasypanych gruzem lochów — i
Strypa — i „kamień i na kamieniu,
a tym kamieniu kamień" jak mó-
wią o Buczaczu. W parwie Tarn-
skiej, jak Ci wiadomo, utknąłem
na deklinacji Ala, zamiast wodzi-
łem się na Orliczkach. Skutkiem
pomyłki był ten, że otrzymałem
dwie rózgi. Rozchorowałem się śmier-
telnie. Chorowałem długo. Odebrał
mnie ojciec z Buczacza i zawiózł
do szkół do Lwowa. Obrzydziłem
sobie łacinę. Wręcz oświadczyłem
stanowczo, że jej nie chcę. Chodzi-
łem więc do szkół realnych.
Mieszkałem we Lwowie u mego
ojca chrzestnego a szkolnego kolegi
mego ojca w Zamościu, i wielkiego mego ojca przyjaciela, u Anto-
niego Rudnickiego, właściciela apteki
pod złotym Lwem obok kościoła
Bernardynów, w domu, który dotąd
istnieje i gdzie także pod innym
godłem apteka. Kiepsko się uczyłem
— tylko z historji i geografii byłem
celującym. Nawet raz profesor historji

Strasser, który nie lubił i różne książ-
ki mnie wypożyczał, przerwał raz pre-
lekcję i patrząc na mnie badawczo
i spostrzegłszy z mojej twarzy, że ja
to już ~~wiem~~ co on prelegując, powiedział:
Ujejdi, ~~ty powiedz co dalej~~ sage was weiter. Powie-
działem. A pisałem także w tym
czasie wiersze. Wiersze sarkastyczne
na nielubianych przez nas profesorów.
Kursowały one po Tarokach. Schwyco-
no je. Napróżno starano się wyba-
dać kto je pisał. Było wtenczas
braterstwo między studentami.
Rodzice moi wypuścili w dzierżawę
Beronianach i przenieśli się na mie-
szkanie do Lwowa dla dokończenia
edukacji wszystkich nas pięciu.
Ojciec mój, głęboki, zamknięty w sobie
natury, chociaż najczulszego serca, był
małomownym, nietowarzyskim, a oprócz
poczciwego Kodrzińskiego, do którego
każdego dnia przed obiadem wycho-
dził, nie miewał innych znajomości.
Wieś nudziła się. I wziął w dzierżawę
blisko Lwowa Dawidów od XX. Do-
minikanów. Na cichej wsi gospoda-

wzrost i tracił. Ale my studenci mieli-
śmy wielkie odpoczynki w Dawidowie
bywając tam co święta niemal pie-
choto. Święta nasza matka prowa-
dziła dom we Lwowie. Ojciec ko-
chający ją i nas mocno więcej
przebywał z nami, niżli w Dawi-
dowie.
Wena moja poetyczna nierozwijała się
w mieście. Na wsi, w Dawidowie,
chodząc po polach układałem wiele
wierszy. Była ich cała książka,
którą później spaliłem.
Przestałem chodzić do szkół niemogąc
znieść suchej i ówczesnej metody,
przygnębiającej mego lotnego, ogni-
stego ducha. Otoczyli mnie najlepsi
rodzice domowymi nauczycielami.
Uczyłem się w domu muzyki, języków
i innych przedmiotów. Nauka sy-
stematyczna niekoniecznie mi pa-
sowała — za to bezładnie czytałem
wiele. Czytałem po całych dniach
i po nocach. Walenroda umiałem
na pamięć. A kochałem się przytem
często i ogniście. Już miałem

znajomości z Leszkiem Borkowskim, Augu-
stem Bielowskim, później z Wincentym
Polem. Podobno Bielowski dla wyro-
bienia języka kazał mi dużo czytać
w Biblii Wujka. Czytałem w biblii,
która mnie zachwycała. W Dawidowie
wiele pisałem. Tam w oficynie,
gdzie osobne pomieszkanie u rodziców
dla siebie wyprosiłem, w dwóch
nocach powstał mój Maraton.
Próbowałem pisać prozą. Dziesięć po-
wieści zaczynałem — i nie kończyłem.
Nie szło mi. Sceptyczny — paliłem.
W r. 1845 moi rodzice sprzedawszy
wujowi Beremiany, kupili kilka wio-
sek w Brzeżańskiem: Lubszę, Wyspę
i Mełnę i tam się przenieśli. Młodsi
bracia pozostali w szkołach we Lwo-
wie, a najmłodszy poszedł do aka-
demii inżynierów do Wiednia.
Ja przeniosłem się z rodzicami
i babką do Lubszy. Znowu mia-
łem odrębne pomieszkanko w ofi-
cynach. Bez takiego odosobnienia
żyć niemogłem. Liczne sąsiedztwa
rozrywały mnie, choć lubiałem

3/

i dotąd lubię samotność – wtedy kiedy jej potrzebuję. Rwało mnie do dalekiego, szerokiego świata – nudziłem się. Przyszedł rok 1846. Ten mnie wstrząsnął do gruntu. W kilku nocach w Lubieniu napisałem Skargi Jeremiego. Chorał napisałem wcześniej; napisałem go we Lwowie, (bo jeździłem często do Lwowa,) napisałem po wysłuchaniu muzycznej kompozycji Józefa Nikorowicza w Zboiskach, gdzie mnie i wiele innych z młodzieży na podwieczorek zaprosił. Słowa dorobione były do muzyki, która mnie zachwyciła.

W wycieczkach moich do Lwowa zrobiłem tam wiele znajomości, kochałem się, szalałem – ale także zawarłem serdeczną przyjaźń z Karolem Szajnochą i bywałem na wieczorach literackich u Kłodzińskiego, dyrektora Biblioteki Ossolińskich i u marszałka Wasilewskiego, ojca Felicji. Już znano mnie jako

poetę i bardzo kochano.

W r. 1847 zakochałem się w ślicznym aniołku w sąsiedztwie Lubczy. Miałem lat ledwie skończonych 22, a rodzice niechcieli mnie widzieć skojarzonym tak wczesnem małżeństwem, a gdy już przedtem marzyłem o dalekich podróżach i ubierałem się w domu w strój grecki, uszyty według bajronickiego wzoru przez orientała-żyda w Strzeliskach, więc po naradzie rodziców z Wincentym Polem wyprawiono mnie do Paryża na naukę. Trzeba ci wiedzieć, ~~że mając~~ co domyślisz się łatwo Ty, która mnie znasz, mającego lat 65 nazywasz młodzieńcem, że w r. 1847, gdy miałem 22 lat skończonych, byłem jeszcze dzieckiem — a dzieciem. Do używałem już świata, piłem z pełnej czary jego rozkoszy, a mimo tego miałem ~~czystość~~ niewinność i naiwność dziecięcą.

Piszę jednym pędem od razu

na tych kartkach, chwytam punkta
wybitniejsze z mego życia — i zapomnia-
łam wspomnieć o człowieku, który
wielki wpływ na mego ducha po-
tycznego wywierał. Był nim brat
cioteczny mojej matki a mój wuj,
Henryk Korycki. Wiesz o tem że
dopiero w ubiegłym roku pocho-
wałam go — a byłam tak szczęśli-
wą, że znalazłam się nareszcie na
Podolu i mogłam kilka słów
żalu i miłości nad Jego trum-
ną wypowiedzieć. Otóż ten
mój drogi Wuj był wielkim
skarbem dla ducha mego. Wy-
chowaniec szkoły Krzemienieckiej,
gorący patriota, równie gorący
wielbiciel polskiej poezji, zain-
teresował się entuzjastycznie mojemi
próbami poetycznemi, które jemu
pod osądzenie posyłałam. Dawał
rady, wytykał błędy, a będąc

z nakoniec tym deklamatorem odczytywał
z zapałem ~~na~~ zgromadzeniach w swojem sąsiedz-
twie te moje pierwociny. Mie-
szkał w swoim majątku w Tar-
nawce o parę mil od Berezian
odległym – a już w parę lat
po powstaniu r. 1831 działał dużo na
małoletniego poetę, bo pamiętam
czas, mając, kiedy w Berezia-
nach, przy zgromadzonych w domu
moich rodziców sąsiadach czytał
z tekstu francuskiego, tłómacząc
go od razu najpłynniej na
język polski, biografię „100 Po-
laków i polek" Strasewicza.
A także zapominałem o mojej
wycieczce do Warszawy, którą
odbyłem w r. 1844. Było się
tak: Na wakacjach byłem w
Dawidowie; rodzice pojechali
na Podole w odwiedziny do
Krewnych. Aż tu przyjeżdża

4)

do Dawidowa mój kuzyn i przyja-
ciel, trochę starszy odemnie a już
właściciel Strzelisk, Wiktor Wisniewski
i mówi: W interesach jadę do War-
szawy i wstąpiłem, aby Cię pożegnać.
A ja cały w ogniu, i do babki:
Babciu, ja chcę jechać do Warszawy!
— Jakże to może być, moje dziecko,
rodziców niema w domu, a ty
chcesz gdzieś wojażować. — Babciu,
ja muszę! — No, kiedy musisz,
to podaj mi ~~tę~~ moją szkatułkę.
Tę szkatułkę mam dotąd. I w tej
szkatułce święta ręka mojej bab-
ki zaczęła między papierami
przewracać i z różnych kopert
wydobywała banknoty na zasiłek
mój podróżny. Więc pojechałem
z Wiktorem na Chełm i Lublin
do Warszawy. W Chełmie wypadł
nam nocleg. Zajechaliśmy do jakiejś
oberży, którą prowadziła nieszpe-
tna panna Franciszka. Zaintere-
sowała się młodym wojażerem,

dwudziestoletnim Łopackiem, i mówi
do nas: Mam jechać na zamówiony
podwieczorek do bliskiego lasku;
jedźcie parowie ze mną. Więc je-
dziemy. W lasku stół zastawiony
i kilku oficerów moskiewskich. To
mnie oburzyło. Ale w owym czasie
inni byli moskale. Przy winie oświad-
czali się z przyjaźnią dla Polski
i polaków. Jakoś ściskaliśmy się
pijąc wino. Jeden tylko z pode-
łba na mnie spoglądał, bo panna
Franciszka widocznie ze mną kokie-
towała. Wchodziło to w jej rachubę.
~~Do~~ I koniec końcem ~~my~~ ja z nią,
którem wróciliśmy sami do obozu
— a ona gdzieś przepadła. Że też
o takich głupstwach chce mi się
pisać — kiedy pomijam tyle
spraw i znajomości ~~poważniejszych~~
i ważniejszych! O uroku przemożny młodości!

- - - -

~~I jeszcze jedno wspomnienie. W r. 1846~~
Lublin przenocowawszy, gdzie zastałem
jeszcze skromny pomnik postawiony

na pamiątkę Unii lubelskiej – widziałem
potem Puławy. W zamku był konwikt
żeński. W ogołoconej ~~Sybi~~ świątyni
Sybilli jeszcze coś znajdowało się
pamiątek, także w domku gotyckim.
W świątyni Sybilli płakałem. Znałem
już poemat Woronicza. Przeprawiwszy się przez Wisłę, zboczyłem
do Czarnolesia Kochanowskiego. Lipy
już nie było. Potem do Zwolenia,
gdzie grób złotego Jana. Potem
przez Radom i Kaczyn do War-
szawy. Miałem od Bielowskiego
list do Wójcickiego. Ten był moim
ciceronem. Oprowadzał mnie po War-
szawie. Tu, raz rzekł, uderzaliśmy
na arsenał! – Wprowadził mnie
na posiedzenie redaktorów „Biblioteki
warszawskiej". Po nudnych rozpra-
wach Witkowski zaczął opowiadać
jedną ze swoich dykteryjek. Okula-
rowe powagi kładły się po
sofach ze śmiechu. Ja śmiejąc
się położyłem się na stole, zie-
lonem suknem przykrytym. Zwrócił

II (Umarł w Bahii, w Brazylii. Grzechowski wyprawił go z kraju.)

Wzięli moją uwagę, że to opasie dla mnie młodego niestosowne. U Leona Lubiczińskiego byłem także na literackiem śniadaniu. Także u Łuszczewskich, rodziców przyszłej Deotymy, gdzie poznałem Lenartowicza. Deotyma była wtenczas niewidziana, przy niańce. Jeszcze wtenczas nie improwizowała. I także zapomniałem powiedzieć, że na początku roku 1846, w lutym, byłem na Podolu odwiedzając rodzinę. Miałem ścisłą przyjaźń z domem Wróblewskich w Czortkowie. Najstarszy syn Kazimierz F, zdolny bardzo, autor: Początku wielkiego dramatu, odwiedzał mnie w Lubozy. W domu jego ojca ulokowałem się. Wciągnął mnie do ruchu rewolucyjnego. Jeździliśmy na dwóch propagując i przygotowując powstanie. Prawie nikt nie wymawiał się. Zachęta dwóch młodzieniaszków była wystarczająca. W Rydodubach u mego

5.)

dziadka, brata mojej babki, p. de-
putata Witwickiego mieliśmy się
liczniej ~~się~~ zgromadzić, aby uderzyć
na blizki Czortków, gdzie stacjono-
wał szwadron huzarów. Dziadek
zawołał mnie do siebie i dyploma-
tycznie odradził. Babka Witwicka
pobłogosławiła zięcia, synów i
mnie, każdemu dała medalik
i powiedziała: Idźcie, gdy potrzeba.
Była straszna zawierucha śniegowa.
Siodłano konia. Nadbiegł z Czortko-
wa od Wiblewskich posłaniec z za-
wiadomieniem, że uderzenie na Czort-
ków wstrzymane. Już tam doszła
wieść o rzezi tarnowskiej. Adolf Kor-
nowski, emisarjusz delegowany
na Podole, wstrzymał wybuch
podolski.
A teraz wracam do mojej podróży
paryskiej. Przedtem, jeszcze jedno
straszne wspomnienie. 21. lipca
byłem we Lwowie. Szedłem
z Hermanem, który szedł za wozami
na których wieziono na śmierć

męczennika Teofila Wiśniowskiego i Ka-
puścińskiego. I byłem tam — i wi-
działem — i po raz pierwszy do-
wiedziałem się, że przez ból wielki
zaciętość rodzi się w duszy człowie-
ka, a łza jest bólu profanacją.
Teraz zrozumiesz, co Cię dziwiło,
gdy raz w liście wspomniałem,
że po stracie <u>Jasnej</u>, siedziałem
jak kamień na posiedzeniu
parlamentu we Wiedniu. Wróciwszy
z ekskursji pędziłem do najbliż-
szego mego przyjaciela, Szajnochy,
— w jego objęciu wybuchnąłem
płaczem. Płakaliśmy obydwaj.
A kiedy w innym strasznym
dniu dla mnie, wróciłem z po-
siedzenia parlamentu do mojej
stancyjki, tam zwaliłem się na
łóżko, i położyłem rewolwer
przy sobie — ale spostrzegłem
wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa

nad tokiem — i ocalałam.
Boże! Jak Ty mnie wodził, przez
jakie bóle i przepaści, abym stał
się duchem nieśmiertelnym, Tobie
na wieczność oddanym, Tobie
służącym w pokorze i niedol-
ności mojej.
Znasz mnie. Wiesz, że w jednej
chwili umiem z wysokości zla-
tywać i naraz w górę lecieć;
że umiem hamować w sobie
najżywsze poruszenia i schodzić
do spokoju. Takim mnie zrobił
mój los i siła mego ducha.
Więc, nie odrywając pióra, ja-
dę teraz do Paryża.
A jechałam, naturalnie, na Kraków.
Już przedtem znałam go. W roku,
podobno 1843, czy 1842, odwoziła
nasza matka najmłodszego syna do
Wiednia, do akademii inżynierów.
I wzięła mnie ze sobą. To była

pierwsza podróż moja. Więc na
Kraków jechałem. Na kopcu Kościuszki
zebrałem wiązkę trawy i kilka
kwiatów, i powiozłem ze sobą –
jako talizman na pokusy paryskie.
Więc jadę do Paryża. Zmówiłem
się z Wincentym Polem, który dla
zdrowia udał się do Warmbrunn.
Tam dążyłem. We Wrocławiu „pod
złotą Gęsią" zdybałem się z Sa-
piehami. Pamiętam, kiedy napi-
sałem w Lutym „Skargi Jeremia-
go" posłałem bezimiennie ich
odpis X. Leonowej Sapieżynie,
która już wtenczas święciła
w naszym kraju cnotą i pa-
triotyzmem, jednającym dla niej
cześć naszą. Nazwałem ją
w przypisku, jak słusznie,
„Kapłanką Polski". I kiedy
teraz to piszę, ona żyje jeszcze.

6)

Daj jéj Boże życia najdłuższego! Więc otulono mi przyjaźnie. Odwiedziwszy Pola w Warmbrunie puściłem się w góry Karkonoskie (Riesengebirge). Tę wycieczkę odbyłem z Purkinim, sławnym geologiem czeskim i z jego synami. Byłem na szczycie Śnieżnej góry (Schnee-Koppe) — gdzie nocowaliśmy. Rankiem dwóch synów Purkiniego i ja budowaliśmy z kamieni wielką piramidę. Zjawił się jakiś niemiec i pyta co robimy. Rzekłem: Für die polnische Unsterblichkeit! —

Wróciwszy do Wrocławia, X. Leon, który odwoził syna Adama na nauki do Anglii, zaproponował mi, abyśmy razem przez Niemcy jechali. Naturalnie, że z wdzięcznością to przyjąłem. I razem pojechaliśmy do Berlina, gdzie przez parę dni zabawiliśmy.

W drodze, jadąc w jednym wagonie, mówił wiele do mnie X. Leon, dając mi skazówki, które w dalszem mojem życiu stały się przy ciężkich przejściach, bogactwem dla mnie. Z Berlina jechaliśmy razem dalej do Belgii. Była natenczas jeszcze kolejowa przerwa — między Hamm a Münden, którą odbywaliśmy dyliżansem. Nocleguiąc gdzieś w tej przerwie, X. Leon zażądał w oberży jednego pokoju na nas trzech. Jedno łóżko było w tym pokoiku. „Wy młodzi przyśpicie się na materacach na ziemi." Mówił mi raz X. Leon, że po powstaniu r. 1831. gdy zagrabiono jego wielki majątek, znalazł się w bardzo biednem położeniu i mieszkał z żoną i dziećmi we Wrocławiu wydając dziennie 1 floren na utrzymanie.

Ta prostota, szczerość budziła we
mnie wiele myśli, które stały
się wielkim skarbem na dalsze
moje życie — dla mnie pochopnego
do lekceważenia grosza. W Brukseli,
gdzie rozchodziły się nasze drogi,
bo ja jechałem do Paryża, a
X. Leon przez Ostendę do Anglii,
poznałem przez niego młodego
Czartoryjskiego, który przybył
do Brukseli dla zobaczenia swoja.
Byłem parę razy z X. Leonem
u Skrzyneckiego. A sam, z Lu-
cjanem Siemieńskim, do którego
miałem list od Bielowskiego,
u Lelewela. Bardzo to sprawy
ciekawe, ale gdybym wszystko
pisał, byłaby z tego księga,
a ja tylko notatki kładę
dla Ciebie hamując się, a
folgując pióru niemal bez tamy.

Ano, jestem w Paryżu. Zajechałem
do Hotelu de France na r. d'Antin.
Żądam stancyi. Wpakowano mnie
do dwóch paradnych pokoi dywa-
nami wybitych. Siedm franków
dziennie. Przestraszyłem się. O, ta
straszna duma szlachcica polskiego!
Przyjąłem dwa pokoje. Nazajutrz
przeleciałem pieszo Paryż — i zaraz
stanęło mi blizko morze, morze
przed oczyma. Widzieć morze,
to jakby zbliżyć się do nieskoń-
czoności, to jakby zbliżyć się do
Boga! — Wieczorem, tego sa-
mego dnia, pognałem do Hawru.
Z Hawru, mniejsza gdzie, na
pierwszy odpływający okręt płynę
do Cherburga. Miałem w drodze
wyśmienitą burzę, aż się ra-
dowała dusza moja trzymająca
się ciałem przy maszcie.
Tych pięć kartek posyłam
Tobie — a resztę, jak Bóg da.
Ani odczytuję, co napisałem — dodaj kommy
gdzie potrzeba.

7.)

Cała moja pielgrzymka do morza wżłobiła się głęboko w pamięć moją. Wyjechałam z Paryża wieczorem. Noc była cicha, jesienna, księżycowa. Chociaż kupiłam bilet drugiej klasy, w Mantes przesiadłam się do klasy czwartej, której podówczas wagony były bez żadnego przykrycia. Gdzieś na popielato pomalowane ławki i ciemno błękitne niebo zamiast dachu. Jechałam słynną Normandją, którą słoneczniej, niżli Bolonję we Włoszech, można by nazwać: la grassa. Takie bujne, soczyste łąki i tuczne bydło po nich; — na co patrzyłam przy powrocie za dnia. I stosowny jestem za beryzetkę. Za wszystkiem szperam w podróżach, na wszystko zwracam uwagę. Toż w Rouen zabawiłam dwa dni. Cudne miasto! stara Sekwana, niektóre ulice z domami średniowiecznymi, katedra jedna z najpiękniejszych — i plac tragiczny, na którym spłonęła Dziewica Orleańska. Gdzie jej popioły?! — Jeśli

trwają dotąd w sercach francuzów, to wypędzą niemców z Alzacji — Daj Boże! — Z Hawru do Rouen wra-całem Sekwaną. Wzgórza po brzegach, a na wzgórzach ruiny starych zamków; i jeden z nich Roberta-Diabła, który śpiewał w tym czasie w operze paryzkiej. Między Rouen a Paryżem wrzało po wagonach. Duc de Praslin został w Pa-ryżu potajnie uwięziony za morderstwo żony. Pokazywano w przejeździe jego zamek opodal drogi kolejowej. W Pa-ryżu widziałem tłumy przy pałacu Praslina, zamkniętym, ponurym, o spu-szczonych storach. W nim zamordował żonę. Na ścianie pałacu czernił się napis ręką mściwego ludu węglem nakreślony: L'ordre regne à Varsovie. Te słowa wypowiedział z trybuny, po wzięciu Warszawy, marszałek Sebastiani, ojciec nieszczęśliwej Praslinowej. Podobno żył on jeszcze. Wkrótce potem uwięziono jakiegoś byłego ministra przy obrzydliwym skandalu w publicznym domu. Cuchnę-to w tej belle France za rządów Ludwika-Filipa. Mruczał lud — było to mruczenie nadchodzącej burzy.

A ja już w Paryżu — wykąpany w morzu. Miałem list od Lucjana Siemieńskiego do Walerego Wielogłowskiego. Poszedłem do niego. Zajął się mną po ojcowsku. Zaraz, w tej samej kamienicy, na górnem piętrze najął dla mnie małą stancyjkę, gdzie się ulokowałem. Wszystko dowiedział się, żem poeta. Mnie Siemieński pisał o tem coś do niego. Aż w parę dni pojawia się w Paryżu, w „Dzienniku narodowym" mój Chorał, bez wymienienia autora. Ktoś z kraju przysłał ten wiersz do Paryża, a Dziennik wydrukował. Zawrzało między całą Polonią. A ja mówię raz Wielogłowskiemu: To mój wiersz. Z niedowierzaniem popatrzył na mnie. — Ja mam więcej takich rzeczy — powiedziałem. Co? jakie? — i z pamięci spisałem wszystkie moje Skargi Jeremiego. Chwycił je Wielogłowski i powiedział: Będę drukował. Wielka radość dla mnie. Jako wynagrodzenie autorskie otrzymałem od niego ślicznie oprawiony exemplarz, który mam dotąd. Był on jakby dyplomem dla mnie — bardzo się ucieszyłem. Emigrancki swój grosz zaryzykował dla mnie poczciwy Wielogłowski, za co mu do grobu wdzięczny

jałem. Wątpię, czy wrócił mu się nakład. Książki drukowane przez emigracyę w Paryżu, stały ofiarą nakładców. Wkrótce potem przeniosłem się na wygodniejsze mieszkanie na rue Vaugirard, naprzeciw pałacu Luxemburgu. Zapisałem się do Klubu polskiego na r. Neuve St Augustin, gdzie chodziłem na obiady, fabrykowane. Kuchnią [struck: polsk] kuchara polaka. Gdy się tam pojawiłem przyjęto mnie jakby dziecko ukochane. Już dowiedziano się, że ja jestem autorem Chorału — a tymczasem Skargi drukowały się. Prosiłem Wielogłowskiego, aby na wszelkie sposoby zakrył moje imię drukując Skargi. Więc położył na ksiązce Londyn zamiast Paryża — a przy końcu wiersz położył Krzemieniec tam autor je pisał i przebywał. Ta ostrożność była potrzebną. Z wielkim trudem otrzymałem w kraju paszport tylko do „Deutsche Bundesstaaten". Poczciwy Tarowski pomagał mi w tem, jadąc ze mną [struck: do Winnik] do dyrektora Policyi, oddawionego Sachera, do Winnik, gdzie ten cerber odsiadywał swoją letnią wilidżaturę. A gdy po przejechaniu Niemiec znalazłem się w wagonie na granicy belgijskiej, wszedł

do wagonu żandarm żądając od pasażerów paszportów. Wyjazd mój, brzmiący tylko na Niemcy. Popatrzył na mnie badawczo, ja wymownie na niego i oddał mi paszport z lekkim uśmiechem. Widocznie niewyglądałem na zbiegłego kryminalistę. Rozmówiliśmy się oczyma.

Więc w klubie polskim, gdzie zasiadali do stołu wiele znakomitości z r. 1831, jenerałowie, posłowie, pisarze, a których znałem już dawniej z wizerunków i ich biografii w dziele Straszewicza — byłem [raz na chwilę] pieszczochem tych ojców. Tam zjawił się jako blade widmo ~~raz~~ Szopen i dał mi swój wizytowy bilet z adresem i zaprosił do siebie. Tam objawił mi się równie przelotnie Słowacki, równie blady, o wielkich czarnych oczach, i zniknął — a ja drżący zbliżyć się do niego nie śmiałem. Ale o Szopenie, Słowackim, Mickiewiczu, o Bogdanie Zaleskim, o Antonim Goreckim nie zaraz ~~pisać~~ [mówić] będę. ~~Już~~ [Dopiero] na wyjezdnem z Paryża rozgadam się o nich przed Tobą.

Więc (to część więc biorę z pamiętnika Kilińskiego) — więc mieszkam teraz na r. Vaugirard w małym hotelu garni, wynajętym i prowadzonym przez parę auwerniaków, zdaje się chłopów, przez małżeństwo: Monsieur et Madame Dumas. Pani Dumas sprząta w pokojach, pan Dumas czyści mi suknie i ciżemki. I dla tego miałem rację, kiedy wróciwszy do kraju, na zapytanie czy poznałem w Paryżu sławnych pisarzy francuskich, odpowiadałem z dumą: I jak jeszcze! Dumas ciżemki mi czyścił. — Cały hotelik zapełniony studentami, do których chodzą gryzetki — (już ta warstwa dziewczątek, pełna naiwności i uroku zaginęła teraz w Paryżu), także znajduje się w hoteliku para małżeństw fabrycznych — a ja jako „notre cher polonais", tronuję w tym hoteliku; tem bardziej że posiadam najparadniejszy, najobszerniejszy pokój, na pierwszem piętrze, z dwoma oknami na front, dywanikiem wyścielony, za który płacę 40 franków miesięcznie z pościelą i usługą. Mam także wynajęte pianino, i szlafrok fioletowy

z fałszywego akwamarynu, kupiony po
drodze w Wrocławiu za pięć pieniążków
— i także wielką cygarniczkę z jedno-
litego bursztynu, za którą zapłaciłem
w Salzbrunnie się 7 talarów, do czego
mnie namówił stary szlachcic polski,
znany z kraju, ale się przypodobać
pięknej kupcowej, do której się umizgał.
Więc jestem en vogue — Kochają się
we mnie. Jadam czasem w domowym
table d'hôte, a czasem w niedzielę, w
jadalnym, ogólnym pokoju, przez który
chodzę do mego <u>salonu</u>, sunę w pierw-
szej parze ze starą panią Dumas
kontredansa, przy dźwięku mojego
pianina sprowadzonego do sali balowej.
Toć gdy w maju r. 1848. wyruszałem
na wojnę do Polski, był płacz po
mnie i lament, i wiele pięknych
twarzyczek stało przy drzwiczkach
~~mojej~~ fiakierskiej karetki.
A krzepko biorę się także do nauki,
bo święci rodzice na to mnie wysła-
li, i zapewnili w tym celu mój
pobyt w Paryżu na dwa lub trzy
lata. Chodzę na różne prelekcye
do bliskiej Sorbony i Collège de France,

gdzie słuchałem także prelekcyi Micheleta. Ugodziłem francuza, wykolejonego literata, który mnie przygotowuje do zdania examinu w dalszym ciągu. Z dyplomem, jako bachelier es lettres, chciałem powrócić do domu rodzicielskiego. Nadeszła zima i rozmnożyła zauważ moją wolność czasu. Tańczyłem na tygodniowych zebraniach u XX. Adamów Czartoryjskich; zaprzyjaźniłem się z ich starszym synem Witoldem, serdecznym chłopcem a trochę lampartem; bywałem z nim po innych polskich domach — między innemi u X. Izy Sanguszkowej, gdzie mnie spotkała owacyjka — kiedy la table des princesses, przy której siedziały X. Helena Potocka i X. Eustachowa Sanguszkowa i X. Czartoryjska i jej matka X. Anna Sapieżyna, poruszył się lekko, aby autorowi Chorałów oddzielić parę słów uprzejmych. Na wieczorze u X. Izy olśniła mnie pięknością p. Calergi, une beauté opulente, blondyna, biała jak mleko, pełna, słusznego wzrostu. Tańczyłem z nią. Moskiewka, Nesselrodówna

z domu, a Ignęła do polskich dworów. I kiedy później z Adamem Kocha-
nowskim, emigrantem z Galicii z r. 1846,
udaliśmy się do niej o składkę dla
biednych emigrantów z tego krwawego
roku, dała nam więcej, niż Wokul-
ski z polaków, dała nam 1000 franków.
Wyszła potem powtórnie za mąż za
Muchanowa w Warszawie. A na jej
pogrzeb cała Warszawa wyległa.
Dla tego o niej wspominam, bo zna-
jomość moja była miłą i przelo-
tną.
A oprócz balików w domach książęcych
ciągnęły mnie także babilońskie, niż-
sze baliki. Pojawiło się na nich
dziewczę cudne — mała, zgrabna, jakby
z cukru, nazywała się Blanche.
Przez miesiąc z nią szalałem. Potem
chwyciła mnie w różowe, najpiękniejsze
paznokci hiszpanka, andaluzka. Pozna-
łem ją na balu u jednej z salo-
nowych lorettek. Była metresą ban-
kiera. Dziwnie rzucał nią los. Du-
sza w niej poetyczna, idealna po-
mimo upadku. Miała apartament

przepyszny i powóz z liberją. Fan-
tastka, porzuciła to wszystko, zo-
stawiła klejnoty — i mieszkała w skro-
mnych dwóch pokoikach — aby mnie
kochać. A gdy przyszła rewolucja
lutowa a Polska ciągnęła mnie
do siebie, ochłódłem dla niej i
odjechałem z Paryża nie pożegnawszy
jej. Biedna Juanita! — nie wiem
co się z nią stało. Raz o mało
nie zabiła mnie zbytecznie widząc
chłód we mnie. Siedząc na małym
foteliku wywróciłem się w tył —
a ona padła zemdlona.
A teraz pomyśl, że przy tem
wszystkiem odwiedzałem Mickiewicza
Słowackiego, Szopena, i umiałem
duchem różnie przy każdej wydarzo-
nej okazji. Dziwny ja człowiek.
Miałem takie skłonności z Towiań-
skimi. Ciągnęli mnie, ale niepod-
dawałem. Byłem jakiś trzeźwy
na tym punkcie, a zawsze w sobie
byłem dumny i niepodległy.
< Muszę wspomnieć o rzeczy, która

mnie, już i tak lekkiego w pojęciu
o prawach zmysłowości, popsuła mnie
do reszty. Towiańczyków miałem za asce-
tów, na których patrzałem w pokorze.
Między nimi najbliższą związałem
się przyjaźnią z Henrykiem Służal-
skim, którego Mickiewicz bardzo
lubił i powiózł go ze sobą na Wschód,
gdzie zbył się do tułaczej trumny.
Otóż raz, zawsze mieszkając na rue
Vaugirard, rankiem puka ktoś do
mnie. Nie odzywam się, nie byłem
sam, była Blanche. Puka coraz
mocniej — ja cicho. — Otwórz! to
ja Henryk, z Batignolles piechoto
lecę do ciebie. — Ja cicho. — Otwórz!
do stu diabłów — wiem że jesteś
w domu. — ~~Jam~~ Ja ani mru-mru.
Otwórz! bo drzwi wywalę — (a silny
był chłop) — musisz ~~był~~ mieć kogoś
u siebie — i ja nie święty. —
Otworzyłem. A Henryk tak do mnie
zły, był, czerwony: Cóż ty my-
ślisz, że my tego nierozumiemy.
Duch duchem a ciało ciałem.

Albo ja niewiem, że Adamowi Słała żona wygodne łóżko, aby mógł się przespać z Lubicińską, kiedy do nich do Paryża przyjechała. I ja nie lepszy — ha, sto razy gorszy. Młody jesteś i masz prawo mieć kochanki. Ale w miarę, w miarę, aby ducha niezatracać. A teraz każ dać śniadanie, bom zmęczony. Nie wiele, kielich gorzałki i trochę szynki. — I zaraz w dobry wpadł humor i figlował z Blanszetką. Serdeczny był to człowiek, z lubelskiego rodem a miał się za Kozaka z Ukrainy. Był natym urzędnikiem przy kolei, robotnicy ubóstwiali go. Mógłbym o nim cały tom napisać. Korespondowałem z nim później. Przysłał mi odcięte po śmierci włosy Adama ze Stambułu. Umarł w Trikalis u żydowskich Kozaków Sadyka-Paszy. — Jakiemi drogami duch mój się wodził, to przecie niewszystko. A niech będzie Najwyższemu Bogu chwała, w którego wierzę jako w to słońce, które co dnia wschodzi nad sobą,

10).

żem nie zmarniał, że czuję się teraz lepszym i silniejszym, niżeli byłem za czasu młodości mojej. Chwała Mu chwała, chwała Jego miłosierdziu, podnoszącemu pokorny pył od zbłoconej ziemi, aby go przemienić na promień nieśmiertelny.

Co ja napiszę w tych notatkach! Miałem zamiar na trzech ćwiartkach skończyć ~~dla Ciebie~~ obiecaną autobiografię — a ona rośnie, rośnie, aż mnie strach zbiera. Dla czego tak? Bo mówię do Ciebie.

Grzmi już w Paryżu. W grudniu, na prelekcji Micheleta, student odczytuje i słowem persyfluje tronową mowę Ludwika-Filipa wypowiedzianą przy otwarciu prawodawczej izby. Byłem obecny. Lacordera słuchałem na jego Konferencjach w Notre-Dame. Jego łagodzące a potężne słowa już nadziałały na mnie. Ogniem żyłem. Elektryczność była w powietrzu,

przyjmowała mnie na wszystkich zjazdach moich. <Andaluzka na tem cierpiała.> Między studentami radziliśmy. Lew z quartier latin budził się. I przyszedł Luty. Takiej drugiej rewolucji już nie będzie! Chrystus unosił się nad Paryżem. Mało gwałtu, mało krwi, żadnego uderzenia harmaty, kolby liniowego wojska podnoszone do góry na znak zgody i braterstwa. Tron upadły w śmieciu, entuzjazm w niebo rosły, biały pożar w duszach, nie ten czerwony na dachach — tak odbyła się rewolucja lutowa.

Byłem w niej czynny. Byłem na „placu Zgody", kiedy 200.000 ludu manifestowało się. Byłem w następnym dniu, we środę, o parę set kroków od bulwaru, kiedy w nocy dano ognia na idącego ludu, a on poniósł trupy na plac Bastylii i ogłosił

walki. A w czwartek wyszedłszy
z domu szedłem po ulicach ogo-
łoconych z bruku, bo stawiano
barykady. I przy jednej, na zapy-
tanie, kto jestem — chciano mnie
ogłosić dowódcą, dla tego, żem
powiedział: Polonais. Z bratem
moim, francuzem i studentem
(nazywał się Perret) zdybałem
się po drodze szczęśliwie. Niósł
karabin. Podążyliśmy we dwóch
na drugą stronę Sekwany. Widzia-
łem fale zapełniające całą
ulicę, kiedy od Bastylii szedł
lud przez ulicę St Honoré,
gdzieniegdzie zbrojny oderwanemi
sztachetami — straszny
jak huragan. Na placu
Palais royal znalazłem się
z moim towarzyszem, zbrojni
jednym karabinem. Plac za-

pełniony tłumem. Przed nami
koszarnia, gdzie zamknęli
się municypaliści. Każda ich
kula trafiała. Podłożono
słomę pod koszarnię. Wydy-
miono lisów. Lwy to były.
Wybrani żołnierze z wojska
algierskiego. Otworzyli bramę
i wyszli z bagnetami na-
przód. Jeden z nich znalazł
się przy mnie i przy moim
Percie. Uderzył w piersi
bagnetem w jednego z bluzistów.
Powalił go. C'est mon frère!
Krzyknął inny w bluzie i za-
bił go uderzeniem swego ba-
gnetu. Padł i dyszał. Usunęło
mu się czako z czoła. Padł
tak, że mnie potrącił, aż
upadłem na kolano. Zerwałem
mu z czaka blaszanego koguta

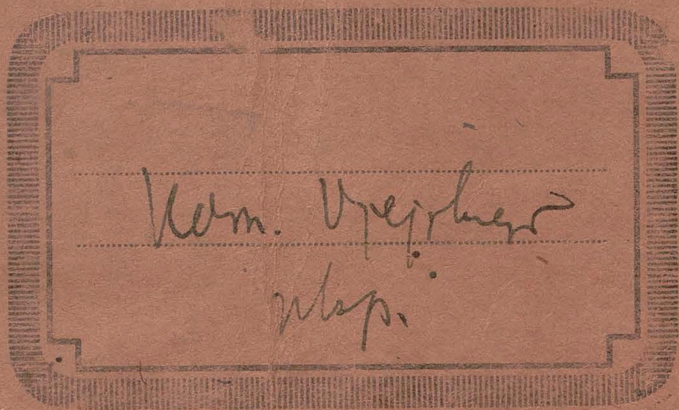
11.)

i trójkolorową kokardę — i schowa-
łem do kieszeni, na pamiątkę
tej chwili. Byłem jakiś zimny,
przytomny w głowie, chociaż
cały drżałem wojenną gorączką.
A ja mówię do Peruta: Idźmy
teraz do Tuilerjów. Przedar-
liśmy się przez tłumy. Sta-
nęliśmy na ulicy Rivoli przy
jednej, najbliższej zamku bramie
ogrodowej. Brama o żelaznych
sztachetach zamknięta. Po
kilku chwilach widzimy,
a było nas przy bramie sporo
ludzi, widzimy, że środkiem
ogrodu sunie garstka. C'est
le roi, c'est la reine, c'est
la duchesse d'Orleans avec
son petit, qui s'en vont.
Przemknęli w koło mnie. A
po chwili cały oddział wojska

piechota z kolbami do góry,
i harmaty gromadzone na placu
Karuzelskim dla obrony zamku
przedefilowały ogrodem przed
nami. Le chateau est vide.
— krzyknięto. I barkami roz-
wywaliśmy bramę. I do zam-
ku! — Weszliśmy we sta-
nowie zwycięstwa; i przed nami
uciekali w trwodze liberyj-
ni słudzy królewscy zrzucając
ze siebie pąsowe fraki.
Szliśmy przez puste salony.
Widziałem w jednym z nich
zastawione na stole niedo-
kończone śniadanie i
cygara jeszcze kurzące.
W sali tronowej widzia-
łem na estradzie ogoło-
conej z dywanu, na deskach

widziałem napis nakreślony kredą:
Vive la Pologne! — Kto to
napisał? — chyba ręka anioła
bożego. Tron stał przewrócony,
po części z purpurowego axa-
mitu obdarty. Poszedłem i
urwałem kawał axamitu.
(Między moimi gratami już
go później odszukać niemo-
głem.) W sypialni królewskiej
z nad łóżka, ja i Perut
zdarliśmy na pamiątkę krzyż i kropiel-
nicę z perłowej macicy.
Krzyż wziął Perut, ja kro-
pielnicę. Tę mam. Widziałem,
że inni szukali śmieci pa-
miątkowych. Rozbijali biórka.
W jakiejś bibliotece wziąłem
także książkę. Mówiono mi
że to biblioteka X. Joinville.

Mam ten dykcjonarz arabsko-francuski. Książka według cyfry na okładce należała do Xcia Orleanu. Gdzieś na podłodze podjąłem woźtele papierów związanych wstążką i rozumiem ją także do kieszeni. Zakonny byłem na pamiątki. A tu, po jakich dziesięciu minutach, wali się na pokoje tysięczna masa ludu. Ledwie przepchałem się z powrotem. Błądząc dostałem się na galerję obrazów Luwru. Już stali przy drzwiach na straży bluzacy z karabinami, i każdego wchodzącego z cygarem przestrzegali, że dym szkodzi obrazom. Co za lud!
(Nowych 5 kartek posyłam. Rób z kartkami porządek, bo ja nie czytam co napisałem.)



Moja autobiografja

Pawłów 15/8 1888

Chcesz, masz – a dla Ciebie tylko!
Ja, Twój przyjaciel, urodziłem się 12/9 1823 w Beremianach, na naszem Podolu. Rodzicami moimi Erazm i Ludwika z Wołańskich Ujejscy. Dopiero mój dziad Piotr przeniósł się na Ruś czerwoną. Przodkowie moi, zaczawszy od Bolesławowego Szreniawity, gnieździli się w Wojew. Krakowskiem. Jeszcze mój pradziad Józef Stolnik sandomierski i jeden z regimentarzy Konfederacji Barskiej posiadał znaczne dobra w tarnowskiem.
Beremiany to cudowna wieś jakby stworzona na kolebkę dla poety. Strypa z Dniestrem łączą się na jej gruntach. Obie rzeki płyną między górami lasem pokrytymi lub skałami. W klinie na górze sterczą cha-

łami

Bereźniany. A za tą wsią płaszczyzna pofalowana żyznej, podolskiej ziemi i dębowe laski, dość rzadkie na Podolu. W tych naszych lasach i na polach wznoszą się starożytne wojenne mogiły. Mój ojciec odgrzebywał wśród nich groby, gdzie broń znajdował krzemienną. Archeolog Kirkor, temu lat ośm, odnalazł pogańskie cmentarzysko i wał okrążający dawną gontynę; z grobów wyniósł do muzeum w Krakowie wiele ozdób bronzowych i czaszki naszych protoplastów. Góra nad Strypą, gdzie to cmentarzysko, nazywa się Orliska. Podobno z tej góry wyrosłem. No, w udanej skromności spuszczam oczy przytem.

Było nas czterech braci w domu i piąty jakby rodzony, syn mego stryja i zmarłej przy połogu ciotki. Ja byłem najstarszy. Jako pierworodny pieszczony byłem a pół fanatycznie do końca jej życia przez moją babkę chorążynę Teresę z Lidwińskich Wolańską. Umarła dopiero w r. 1852 doczekawszy się wnuków ode mnie. Uczyłem się w domu przy nauczycielu, który nazywał

w Podlaszczu. Pierwszym moim serdecznym przy-
jacielem był Antoś Koblecki, syn Księdza ruskiego w
Bereźnianach. Stąd może mam miłość dla narodu
ruskiego, dotąd nigdy nie zachwianą. Chrzcił mnie
Ks. Łuszczyński, proboszcz naszej parafji w Janowcu,
którego ruiny zamku nazywają Palmirą polską.
W r. 1831, mając lat osiem, widywałem często w domu
rozbitków z Korpusu Dwernickiego, oficerów od Kra-
kusów i Ułanów, przyjeżdżających do nas konno w
pełnych mundurach. Przypominam sobie, że nawet
u nas w stodole kilkudziesięciu żołnierzy polskich
przez parę dni biwakowało. Pamiętam sagany z
kwaśnem mlekiem, które do stodoły wnoszono.
Był pokoik gościnny w dachu domu; tam zamkną-
łem się i ułożyłem w myśli dwa pierwsze poemaciki
patrjotyczne, które potem wielkimi literami spisałem.
W jednym z nich znajdowały się dwa takie wiersze, które
pamiętam. Podajcie mi ach czółenko
Niech do mych braci płynę

Zapewne Dniestrem chciałem się dostać do Warszawy. Jeszcze nie znałem geografji. Droga moja matka wypisała kartki tych wierszy pod moją poduszką i jeździła potem z niemi po sąsiedztwie. Mając lat sześć już miałem wietrzną sławę.

Oddano mnie wkrótce do szkół publicznych w Buczaczu. Tam u XX Bazyljanów studjowałem dwie ostatnie klasy normalne i zacząłem pierwszą gimnazjalną. W tym Buczaczu nowe dla mnie cuda. Zamczysko stare na górze, gdzie wczołgiwałem się do zasutych gruzem lochów — i Strypa — i kamień na kamieniu a na tym kamieniu kamień — jak mówią o Buczaczu. W pamięci łacińskiej, jak Ci wiadomo, utknąłem na deklinacji Ala, chociaż wodziłem się na Orliskach. Skutkiem powyższego był ten, że otrzymałem duże rózgi. Rozchorowałem się śmiertelnie. Chorowałem długo. Odebrał mnie ojciec z Buczacza i zawiózł do szkół do Lwowa. Zbrzydziłem sobie łacinę. Raczej dziś udusiłbym słowem, że jej nie chcę.

Chodziłem więc do szkół realnych. Mieszkałem we Lwowie u mego ojca chrzestnego, a szkolnego kolegi mego ojca w Zamościu, i wielkiego mego ojca przyjaciela u Antoniego Rudzińskiego, właściciela apteki pod złotym lwem obok Kościoła Bernardynów, wdowca, który dotąd istnieje i gdzie dalej pod innym godłem apteka. Kiepsko się uczyłem – tylko z historji i geografji byłem celujący. Nauczyciel profesor historji Skwarsco, który mnie lubił i różne książki mi wypożyczał, przerwał prelekcję, patrzy na mnie badawczo i spostrzegłszy z mojej twarzy, że ja to już wiem co on prelegiuje powiedział: „Wyjdź i – sage was weiter". Powiedziałem. Pisałem także w tym czasie wiersze – sarkastyczne na nielubianych przez nas profesorów. Kursowały one po ławkach. Schwytano je. Na próżno starano się wybadać, kto je pisał. Było wówczas braterstwo między studentami.

Rodzice moi wypuścili w dzierżawę Berezniany i przenieśli się na mieszkanie do Lwowa dla dozorowania edukacji

wszystkich nas pięciu. Ojciec mój głębokiej, zamkniętej w sobie natury, chociaż najczulszego serca, był małomownym, nie towarzyskim, a oprócz poczciwego Kudzińskiego, do którego każdego dnia przed obiadem wychodził, nie szukał innych znajomości. Więc nudził się i wziął w dzierżawę blisko Lwowa Dawidów od XX Dominikanów. Na lichej ziemi gospodarował i tracił. Ale my studenci lubiliśmy często odpoczywać w Dawidowie, biegając tam co święto, nieraz piechotą. Święta nasza matka prowadziła dom we Lwowie. Ojciec kochający ją i nas mocno więcej przebywał z nami niżli w Dawidowie.

Wena moja poetyczna nie rozwijała się w mieście. Na wsi w Dawidowie, chodząc po polach układałem wiele wierszy. Była ich cała książka, które później spaliłem.

Przestałem chodzić do szkół, nie mogąc znieść suchej ~~[illegible]~~ ówczesnej metody, przygniatającej mego lotnego, ognistego ducha. Otoczyli mnie najlepsi rodzice domowymi nauczycielami. Uczyłem się w domu muzyki, języków i innych przedmiotów. Nauka systematyczna nieukończona

mi pasowało – za to bezładnie czytałem wiele. Czytałem po całych dniach i nocach. Walenroda umiałem na pamięć. A kochałem się przytem często i ogniście. Już miałem znajomość z Leszkiem Borkowskim, Augustem Bielowskim, później Wincentym Polem. Podobno Bielowski dla wyrobienia języka kazał mi dużo czytać w Biblji Wujka. Tonąłem w Biblji, która mnie zachwycała. W Pawidomie wiele pisałem. Tam w oficynie, gdzie osobne mieszkanie u rodziców dla siebie wyprosiłem, w dwóch nocach powstał mój Maraton. Probowałem pisać prozę, dziesięć powieści zaczynałem – i nie kończyłem. Nie szło. Impetyczny – paliłem.

W r. 1845 moi rodzice sprzedawszy wyjście Beremiany, kupili kilka wiosek w Brzeżańskiem: Lubszę, Wyspę, i Mełnę i tam się przenieśli. Młodsi bracia pozostali w szkole. Tadeusz we Lwowie a najmłodszy poszedł do akademji inżynierów do Wiednia. Ja przeniosłem się z rodzicami i Babką do Lubszy. Znowu miałem odrębne pomieszkanie w oficynach. Bez takiego odosobnienia żyć nie mogłem.

Liczne sąsiedztwa rozrywały mnie, chociaż lubiałem i dotąd lubię samotność – wtedy, kiedy jej potrzebuję. Rwało mnie do dalekiego, szerokiego świata, – nudziłem się. Przyszedł rok 1846, ten mną wstrząsnął do gruntu. W tych czasach w Dubowy napisałem Skargi Jeremiego. Chorał napisałem wcześniej we Lwowie /bo jeździłem często do Lwowa/ – napisałem po wysłuchaniu muzycznej kompozycji Józefa Nikorowicza w Zboiskach, gdzie mnie i wiele innych z młodzieży na podwieczorek zaproszono. Słowa dorobione były do muzyki, która mnie zachwyciła.

W wycieczkach moich do Lwowa robiłem tam wiele znajomości, kochałem się, szalałem – ale także zawarłem serdeczną przyjaźń z Karolem Szajnochą i bywałem na wieczorach literackich u Kłodzińskiego, dyrektora Biblioteki Ossolińskich i u marszałka Wasilewskiego, ojca Felicji. Już znano mnie jako poetę i bardzo kochano.

W r. 1847 zakochałem się w ślicznym aniołku w sąsiedztwie

Lubszy. Miałem lat ledwie skończonych 22 – a rodzice nie chcieli mnie widzieć skrępowanym tak wczesnem małżeństwem, a gdy już przedtem marzyłem o dalekich podróżach i ubierałem się w domu w strój grecki, uczyty wedle bajrońskiego wzoru przez ogo-lała – żyda w Strzeliskach, więc po naradzie rodziców z Wincentym Polem, wyprawiono mnie do Paryża na naukę. Trzeba Ci wiedzieć, co domyślisz się Tatku, Ty, który mnie teraz mającego lat 65 nazywasz młodzieńcem, że w r. 1847, gdy miałem 22 lat skończonych, byłem jeszcze dzieckiem, a dziwakiem. Bo używałem już świata, piłem z pełnej czary jego rozkoszy, a mimo to miałem niewinność i naiwność dziecięcą.

Piszę jednym pędem odrazu na tych kartkach, chwytam punkta wybitniejsze z mego życia – i zapomniałem wspomnieć o człowieku, który wielki wpływ na mego ducha poetycznego wywierał. Był nim brat cioteczny mojej matki a mój wuj Henryk Kozicki. Wiesz o tem, że dopiero w ubiegłym roku pochowałem go – a byłem

tak szczęśliwy, że znalazłem się natenczas na Podolu i mogłem kilka słów żalu i miłości nad Jego trumną wypowiedzieć. Otóż ten mój drogi Wuj był niezmiernym skarbem dla ducha mego. Wychowaniec szkoły Krzemienieckiej, gorący patryota, również gorący wielbiciel polskiej poezji, zainteresował się entuzjastycznie moimi próbami poetycznymi, które jemu pod osądzenie przysyłałem. Dawał rady, wytykał błędy a będąc znakomitym deklamatorem, odczytywał z zapałem na zgromadzeniach w swojem sąsiedztwie te moje pierwociny. Mieszkał w swoim majątku Tarnawce, o parę mil od Berezowiec odległym — a już w parę lat po powstaniu r. 1831 działał na ducha maleńkiego poety, bo pamiętam czas, miejsce, kiedy w Berezowianach przy zgromadzonych w domu moich rodziców sąsiadach czytał z teatru francuskiego, tłomacząc go od razu najpłynniej na język polski biografie „100 Polaków i Polek" Straszewicza.

A także zapomniałem o mojej wycieczce do Warszawy, którą odbyłem w r. 1844. Stało się tak: Na wakacjach byłem w Dawidowie;

rodzice pojechali na Podole w odwiedziny do krewnych.
Aż tu przyjeżdża do Dawidówki ~~mój~~ kuzyn i przyjaciel,
trochę starszy ode mnie a już właściciel Strzelina, Wiktor
Wiśniewski i mówi: „W interesach jadę do Warszawy;
wstąpiłem, aby Cię pożegnać." A ja cały w ogniu i do
babki: „Babciu ja chcę jechać do W.! – Jakież to może
być, moje dziecko, rodziców nie ma w domu, a
ty chcesz gdzieś wyjeżdżać. – Babciu ja muszę! –
No kiedy musisz, to podaj mi moją szkatułkę, tę
szkatułkę mam do tąd. I w tej szkatułce święta ręka
mojej babki zaczęła między papierami przewracać
i z różnych kopert wydobywała banknoty na koszta
mej podróży. Więc pojechałem z Wiktorem na
Chełm i Lublin do W. W Chełmie wypadł nam
nocleg. Zajechaliśmy do jakiejś oberży, którą prowadzi-
ła nie szpetna panna Franciszka. Zainteresowała się
młodym wyjeźdźcem, dwunastoletnim chłopaczkiem i
mówi do nas: Mam jechać na zamówiony podwieczorek
do bliskiego lasku: jedźcie panowie ze mną. Więc jedziemy.

Własku stół zastawiony i kilka oficerów moskiewskich. To mnie obraziło. Ale w onym czasie inni byli Moskale. Przy winie oświadczali się z przyjaźnią dla Polski i Polaków. Jakoż ściskaliśmy się pijąc wino. Jeden tylko z podełba na mnie spoglądał, bo panna Franciszka widocznie z mną kokietowała. Wchodziło to w jej rachubę. I koniec końcem ja z Wiktorem wróciliśmy sami do oberży — a ona gdzieś przepadła. Że też o takich głupstwach chce mi się pisać — kiedy pomijam tyle spraw i znajomości poważniejszych i ważniejszych. Owoce pierwszej młodości!

Lublin przewertowawszy, gdzie zastałem jeszcze skromny pomnik postawiony na pamiątkę Unji Lubelskiej — zwiedziłem potem Puławy. W zamku był konwikt żeński. W ogołoconej świątyni Sybilli jeszcze coś znajdowało się pamiątek, także w domku gotyckim. W świątyni Sybilli płakałem. Znałem już poemat Woronicza. Przeprawiwszy się przez Wisłę zboczyłem do Czarnolesia Kochanowskiego. Lipy już nie było. Potem do Zwolenia, gdzie grób złotego Jana.

Potem przez Radom i Raszyn do Warszawy. Miałem od Bielowskiego list do Wójcickiego. Ten był moim ciceronem. Oprowadzał mnie po W. Tr., raz nawet, udawaliśmy na arsenał! — Wprowadził mnie na posiedzenie redaktorów „Biblioteki warszawskiej". Po nudnych rozprawach Wójcicki zaczął opowiadać jedną ze swoich dykteryjek. Okularowe powagi kładły się po sofach ze śmiechu. Ja śmiejąc się położyłem się na stole, całem [illegible] przy tym. Zwrócił Wójcicki moją uwagę, że to opasie dla mnie młodego nie stosowne. U Leona Łubieńskiego byłem także na literackim śniadanku. Także u Łuszczewskich, rodziców przyszłej Deotymy, gdzie poznałem Lenartowicza. Deotyma była wtenczas nie małą panną, przy niańce. Jeszcze wtenczas nie improwizowała.

Także zapomniałem powiedzieć, że na początku r. 1846 w lutym byłem na Podolu, odwiedzając rodzinę. Miałem ścisłą przyjaźń z domem Wróblewskich w Czortkowie. Najstarszy syn Kazimierz (umarł w Bahii, w Brazylji) Gołuchowski wypędził go z kraju – zdolny bardzo autor

Początki wielkiego dramatu, odwiedzał mnie w Lubszy. W domu jego ojca ulokowałem się. Wciągnął mnie do ruchu rewolucyjnego. Jeździliśmy we dwóch propagując i przygotowując powstanie. Prawie niebawem wymawiał się. Zaleta dwóch gotowących młodzieniaszków była wystarczająca. W Rzęzawach u mego dziadka, brata mojej babki, p. deputata Witwickiego mieliśmy się liczniej zgromadzić, aby uderzyć na bliski Czortków, gdzie stacjonował szwadron huzarów. Dziadek zawołał mnie do siebie i dyplomatycznie odradzał. Babka Witwicka pobłogosławiła zięcia, synów i mnie, każdemu dała medalik i powiadała: Idźcie gdy potrzeba. Była straszna zawierucha śnieżna. Osiodłano konie. Nadszedł z Czortkowa od Wróblewskich posłaniec z uwiadomieniem, że uderzenia na Czortków wstrzymano. Już tam doszła wieść o rzezi tarnowskiej. Adolf Rozwadowski, emisarjusz delegowany na Podole wstrzymał wybuch podolski.

A teraz wracam do mojej podróży paryskiej. Przedtem jeszcze jedno straszne wspomnienie. 31 lipca byłem we

Snowie. I zeszłem w Lwowie, który szedł za zwłokami, na których widniało na imieniu męczeników Teofila Wiśniowskiego i Kapuścińskiego. I byłem tam – i widziałem – i po raz pierwszy doznałem się, że przez ból wielki zaciętości rośnie się w duszy człowieka – a łza jak bólu przesiąka. Teraz rozumiesz, co się dziwiło, gdy raz w życiu wspominałem, że po stracie Jasnej, siedziałem jak kamień na posiedzeniu parlamentu we Wiedniu. Wróciwszy z tej ciężkiej podróży do najbliższego mego przyjaciela Szajnochy – w jego objęciu wybuchnąłem płaczem. Płakaliśmy obaj dwaj. A kiedy w innym strasznym dniu dla mnie, wróciłem z posiedzenia parlamentu do mojej stancyjki, tom zwalił się na łóżko, i położyłem rewolwer przy sobie – ale spostrzegłem wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa nad łóżkiem i ocalałem.

Boże! jak Ty mnie wodzisz, przez jakie bóle i przepaście, abym stał się duchem nieśmiertelnym, Tobie na wieczność oddanym, Tobie oddanym poddane i niewdzięczności mojej.

Znasz mnie. Wiesz, że w jednej chwili umiem z wysokości zstępywać i naraz w górę lecieć; że umiem hamować w sobie

najżywsze poruszenia i schodzić do spokoju. Takim mnie zrobił mój los i siła mego ducha.

Więc – nie odrywając pióra, jadę teraz do Paryża.

A jechałem naturalnie na Kraków. Już przedtem znałem go. W r. podobno 1843 czy 1842 odwiozła nasza matka najmłodszego syna do Wiednia, do akademji inżynierów. I wzięła mnie ze sobą. To była pierwsza podróż moja. Więc na Kraków jechałem. Na Kopcu Kościuszki zebrałem stąd trawy i kwiatków i powiozłem ze sobą – jako talizman na podróż paryską.

Więc jadę do Paryża. Zmówiłem się z Wincentym Polem, który dla zdrowia udał się do Warmbrunnu. Tam dożyłem. W Wrocławiu „pod złotą gęsią" zdybałem się z Sapiehami. Przedtem, kiedy napisałem w Luborzy „Księgi Jeremiego" posłałem bezimiennie rękopis Ks. Leonowej Sapieżynie, która już wtenczas świeciła w naszym kraju cnotą i patryotyzmem, jednającym dla niej serca nasze. Nazwałem ją w przypisku, jak słusznie, „Kapłanką Polski". I kiedy teraz to piszę, ona żyje jeszcze. Daj jej Boże życia najdłuższego.

Więc otulono mnie przyjaźnią. Odwiedzimy Pole w Warmbrunnie pusiłem się w góry Karkonoszów (Riesengebirge). Tę wycieczkę odbyłem z Ruskinim, sławnym geologiem czeskim i z jego synami. Byłem na szczycie Śnieżnej góry (Schnee-Koppe) – gdzie nocowaliśmy. Rankiem dwoch synów Ruskiniego i ja budowaliśmy z kamieni wielką piramidę. Zjawił się jakiś Niemiec i – pyta co robimy. Rzekłem: für die polnische Unsterblichkeit.

Wróciwszy do Wrocławia X Leon, który odwoził syna Adama na naukę do Anglji, zaproponował mi, abyśmy razem przez Niemcy jechali. Naturalnie i z wdzięcznością to przyjąłem. I razem pojechaliśmy do Berlina, gdzie przez parę dni zabawiliśmy.

W drodze jadąc w jednym wagonie mówił mile do mnie X Leon, dając mi wskazówki, które w dalszem mojem życiu stały się jemu cięższemi przejściach bogactwem dla mnie. Z Berlina jechaliśmy razem dalej do Belgji. Była natenczas jakaś kolejowa przerwa – między

Hamm a Münden, którą odbywaliśmy dyliżansem. Nocleguјąc gdzieś w tej przerwie X Leon zażądał w oberży jednego pokoju na noc trzech. Jedno łóżko było w tym pokoiku. „Wy młodzi prześpicie się na materacach na ziemi" — Mówił mi raz X Leon, że po powstaniu r. 1831, gdy zagrabiono jego wielki majątek, znalazł się w bardzo biednem położeniu i mieszkał z żoną i dziećmi w Wrocławiu, wydając dziennie 1 florena na utrzymanie. Ta prostota, szczerość budziła we mnie wiele myśli, które stały się wielkim śladem nadal na moje życie — dla mnie pochopnego do lekkie wydawania grosza. W Brukseli, gdzie rozchodziły się nasze drogi, bo ja jechałem do Paryża a X Leon przez Ostendę do Anglji, poznałem przez niego młodych Czartoryskich, którzy przybyli do Brukseli dla zobaczenia wuja. Byłem parę razy z X Leonem u Skrzyneckiego — a sam z Lucjanem Siemieńskim, do którego miałem list od Bielowskiego, u Lelewela. Bardzo to sprawy ciekawe, ale gdybym wszystko pisał, byłaby z tego książka, a ja tylko notatki składę dla Ciebie hamując się a folgując pióru nieraz bez sensu.

Ano jestem w Paryżu. Zajechałem do hotelu de France na r. d'Antin. Żądam stancji. Wprowadzono mnie do dwóch paradnych pokoi, dywanami wybitych. Siedem franków dziennie. Przestraszyłem się. Ot, ta straszna duma szlachcica polskiego. Przyjąłem dwa pokoje. Nazajutrz przeleciałem piechotą Paryż – i zaraz stanęło mi blisko morze przed oczyma. Widzieć morze to jakby zbliżyć się do nieskończoności, to jakby zbliżyć się do Boga! – Wieczorem tego samego dnia pojechałem do Havru. Z Havru następnego dnia, na pierwszy odpływający okręt płynę do Cherbourga. Miałem w drodze wyśmienitą burzę, aż się radowała dusza moja trzymająca się ciałem przy maszcie.

Tych oto kartek posyłam Tobie – a resztę jak Bóg da. Ani odczytuję co napisałem – dodaj kropki, gdzie potrzeba.

Cała moja pielgrzymka do morza wżłobiła się głęboko w pamięci mojej. Wyjechałem z Paryża wieczorem. Noc była cicha, jesienna, księżycowa. Chociaż kupiłem bilet do drugiej

klasy w Mantes, przesiadłem się do klasy czwartej, której podówczas wagony były bez żadnego przykrycia. Gdy się, na popsuło to ponadstawiano ławki i ciemnobłękitne niebo zamiast dachu. Jechałem śliczną Normandją, która sto-sowniej niż Bolonja we Włoszech, mogłaby nazwać się la grassa. Takie bujne, soczyste łąki i tłumnie bydło po nich, na co patrzyłem przy powrocie za dnia. Zatwardziony jestem naturystą. Za wszystkiem szperam w podróżach, na wszy-stko zwracam uwagę. Toż w Rouen zabawiłem dwa dni. Cudne miasto! stara Sekwana, niektóre ulice o domach średniowiecznych, katedra jedna z najpiękniejszych - i plac tragiczny, na którym spalono dziewicę orleańską. Gdzie jej popioły? - Jeśli tkwi jej iskra w sercach Francuzów, to wypędzą Niemców z Alzacji - Daj Boże! - Z Havru do Rouen wraca-łem Sekwaną. Wzgórza po brzegach; na wzgórzach ruiny starych zamków; i jeden z nich Roberta Djabła, który spełniał w tym czasie [illegible] paryskiej. Między Rouen a Paryżem wracałem po wagonach. Duc de Praslin został właśnie w Paryżu uwięziony ze morderstwo żony. Pokazywano w przejeździe jego zamek opodal

drogą kolejową. W Paryżu widziałem tłumy przy pałacu Praslina zamkniętym, ponurym, o spuszczonych storach. W nim zamordował żonę. Na ścianie pałacu czerniał się napis ręką śmiałego ludu węglem nakreślony: L'ordre règne à Varsovie. Te słowa wypowiadał z trybuny po wzięciu Warszawy marszałek Sebastiani, ojciec nieszczęśliwej Praslinowej. Podobno żył on jeszcze. Wkrótce potem uwięziono jakiegoś byłego ministra przy obrzydliwym skandalu w publicznym domu. Cuchnęło w tej belle France za rządów Ludwika Filipa. Milczał lud - było to milczenie nadchodzącej burzy.

A ja już w Paryżu - wykąpany w morzu. Miałem list od Andrzeja Siemieńskiego do Walerego Wielogłowskiego. Poszedłem do niego. Zajął się mną po ojcowsku. Zaraz w tej samej kamienicy, na górnem piętrze najął dla mnie małą stancyjkę, gdzie się ulokowałem. Rychło dowiedział się, żem poeta: Mój Siemieński pisał o tem coś do niego. Aż w parę dni pojawia się w Paryżu w „Dzienniku Narodowym" mój Chorał, bez wymienienia autora. Ktoś z kraju przysłał ten

wiersz do Paryża, a dziennik wydrukował. Zawrzała na-
wet cała Polonia. A ja mówię raz Wielogłowskiemu: To mój
wiersz. Z niedowierzaniem popatrzył na mnie. – Ja mam
więcej dalszych rzeczy – powiedziałem. Co? jakie? i z pamięci
opowiadałem wszystkie moje Skargi Jeremiego. Chwycił je
Wielogłowski i powiedział: Będę drukował. – Wielka
radość dla mnie. Jako wynagrodzenie autorskie otrzyma-
łem od niego ślicznie oprawiony egzemplarz, który mam
dotąd. Był on jakby dyplomem dla mnie – bardzo się
ucieszyłem. Emigrancki swój grosz zaryzykował dla mnie
poczciwy Wiel., za co mu do zgonu wdzięczny jestem.
Wątpię, czy wrócił mu się nakład. Książki drukowane
przez emigrację w Paryżu stały ofiarą nakładców. Wkrótce
potem przeniosłem się na wygodniejsze mieszkanie na rue
Vaugirard, naprzeciw ~~[illegible]~~ pałacu Luksemburgu. Zapi-
sałem się do Klubu polskiego na r. Neuve St. Augustin, gdzie
chodziłem na obiady fabrykowane kunsztem kucharza Polaka.
Gdy się tam pojawiłem, przyjęto mnie jakby dziecko ukocha-
ne. Już domyślano się, że jestem autorem Chorału. – a tymczasem

książki drukowały się. Prosiłem Wielogłowskiego, aby we wszelki sposób zakrył moje imię drukując książki. Więc położył na książeczce Londyn zamiast Paryża — a przy końcu wiersza położył Rzym, niby tam autor je pisał i przebywał. Ta ostrożność była potrzebną. Znalazłem bowiem otrzymawszy w Krakowie paszport tylko do „Deutsche Bundesstaaten". Rzeczony Darowski pomógł mi w tem, ściągając ze mną do dyrektora policji, osławionego Sachera, do Wiednia, gdzie ten cerber odsiadywał swoją letnią wilegiaturę. A gdy przejechawszy Niemcy znalazłem się w wagonie na granicy belgijskiej, wszedł do wagonu żandarm żądając od pasażerów paszportów. Wyjąłem mój, brzmiący tylko na Niemcy. Popatrzył na mnie badawczo, ja wymownie na niego i oddał mi paszport z lekkim uśmiechem. Widocznie nie wyglądałem na zbiegłego kryminalistę. Rozumieliśmy się oczyma.

Więc w Klubie polskim gdzie zasiadało do stołu wiele znakomitości z r. 1831 — jenerałowie, posłowie, pisarze a których znałem już dawniej z wizerunków i ich biografii

w dziele Straszewicza — byłem przeżuchem tych ojców. Tam zjawił się raz na chwilę jako blade widmo Szopen i dał mi swój wizytowy bilet z adresem i zaprosił do siebie. Tam objawił mi się również przelotnie Słowacki, równie blady, o wielkich czarnych oczach i zniknął — a ja drżący zbliżyć się do niego nie śmiałem. Ale o Szopenie, Słowackim, Mickiewiczu, o Bohdanie Zaleskim, o Antonim Goreckim nie zawsze mówić bądź. Dopiero na wyjeździe z Paryża rozpędam się o nich przed Tobą.

Więc (dosłownie myśl biorę z pamiętników Kilińskiego) — więc mieszkam teraz na Vaugirard w małym hoteliku garni, wynajętym i prowadzonym przez parę auvergniatów, zdaje się chłopów; przez małżeństwo Monsieur et Mme Dumas. Pani Dumas sprzątała w pokoju, pan Dumas czyścił mi obuwie i ciżemki. I dlatego miałem racji, kiedy wróciwszy do kraju, na zapytanie czy poznałem w Paryżu sławnych pisarzy francuskich, odpowiadałem z dumą: i jak jeszcze — Dumas ciżemki mi czyścił. — Cały hotelik zapełniony studentami, do których chodzę grzecznie — (już ta wartość dziewczętach

pełnych naiwności i uroku wymarła twarz w Paryżu) dalej
znajduje się w hoteliku para małżeństw fałszywych – a ja
jako notre cher Polonais, tronuję w tym hoteliku; tem
bardziej, że posiadam najparadniejszy, najobszerniejszy
pokój, na pierwszem piętrze z dwoma oknami na front;
dywanikiem wyścielony, za który płacę 40 fr. miesięcznie
z pościelą i usługą. Mam dalej wynajęte pianino i szla-
frok fioletowy z fałszywego aksamitu, kupiony podobno
w Wrocławiu za psie pieniądze – i dalej wielką cygarni-
czkę z jednolitego bursztynu, za którą zapłaciłem w Salzbrunie
aż 7 talarów, do czego mnie namówił stary szlachcic pol-
ski, znany w kraju, aby się przypodobać pięknej kupcowej, do
której się umizgał. Więc jestem en vogue – kochają się we
mnie. Jadam czasem w domowem table d'hôte, a czasem
w niedzielę w jadalnym, ogólnym pokoju, przez który chodzi
do mego salonu, sunę w pierwszej parze ze starą panią Dumas
kontradansa przy dźwiękach mojego pianina, sprowadzonego
do sali balowej; też gdy w maju r. 1848 wyruszałem na wojnę do
Polski, był płacz po mnie i lament i wiele pięknych twarzyczek

stało przy drzwiach fiakierskiej karetki.

Skrzętnie biorę się także do nauki, bo moi rodzice na to mnie wysłali i zapewnili w tym celu mój pobyt w Paryżu na dwa lub trzy lata. Chodzę na różne prelekcje do bliskiej Sorbony i Collège de France, gdzie słucham także prelekcji Micheleta. Ugodziłem Francuza, wybitnego literata, który mnie przygotowuje do zdania egzaminu w dalszym ciągu. Z dyplomem jako bachelier ès lettres chciałem powrócić do domu rodzicielskiego. Nadeszła zima i zaczęła się [illegible] moja [illegible]. Tańczyłem na tygodniowych zebraniach u XX Adamów Czartoryskich; zaprzyjaźniłem się z ich starszym synem Witoldem, serdecznym chłopcem a trochę lampartem; bywałem z nim po innych polskich domach – między innymi u X Izy Sanguszkowej, gdzie mnie spotkała owacyjka – kiedy la table des princesses, przy którym siedziały X. Helena Ponińska i X. Eustachowa Sanguszkowa i X. Czartoryska i jej matka X. Anna Sapieżyna porwały się lekko, aby autorowi Chorału udzielić parę słów uprzejmych. Na wieczorze u X. Izy olśniła mnie pięknością p. Calergi une beauté opulente, blondyna biała

jaśniej, pełna, okazałego wzrostu. Tańczyłem z nią. Moskiewka, Nesselrodówna z domu, a lgnęła do polskich domów. I kiedy później z Adamem Kochanowskim, emigrantem z Galicji z r. 1846 udaliśmy się do niej o składkę dla biednych emigrantów z tego krwawego roku, dała nam więcej, niż ktokolwiek z Polaków – dała nam 1000 franków. Wyszła potem powtórnie za mąż za Muchanowa w Warszawie. A na jej pogrzeb cała Warszawa wyległa. I dlatego o niej wspominam – bo znajomość moja była miłą i przelotną.

A teraz pomyśl, że przytem wszystkiem odwiedzałem Mickiewicza, Słowackiego, Szopena i uważałem za dardenrósi przy każdej wydarzonej okazji. Dziwny ja człowiek. Mściłem taniec Komutsji z Polianami. Ciągnęło mnie jako nie poddawałem się. Byłem jeszcze twardy na tym punkcie, a za nadto w sobie dumny i nie podległy.

Serdeczny był to człowiek (Henryk Kuźmski), z lubelskiego rodem a udał się za Kozaka z Ukrainy. Był małym urzędnikiem przy kolei, robotnicy ubóstwiali go. Mógłbym o nim cały tom napisać. Korespondowałem z nim później. Przysłał mi odcięte po śmierci włosy Adama w Hamburku. Umarł w Trikalis u regularnych Kozaków Sadyka-Paszy. — Jakiemi drogami duch mój się ważył, to przecie nie wszystko. Ale dzięki Najwyższemu Bogu chwała, w którego wierzę jak w to słońce, które co dnia widzę nad sobą, iżem nie zmarnował, że czuję się teraz lepszym i silniejszym, niż byłem za czasu młodości mojej. Chwała Mu, chwała Jego miłosierdziu, podnoszącemu pokorny pył od zbłoconej ziemi, aby go zamienić na promień nieśmiertelny.

Co ja nie piszę w tych notatkach! Miałem zamiar na trzech ćwiartkach skończyć obiecaną autobiografię — a ona rośnie, rośnie, aż mnie strach zbiera. Dlaczego tak? Bo mówię do licha.

Gościm już w Paryżu. Wprędce, na prelekcji Micheleta, student odczytuje i tonem persyflażu tronową mowę Ludwika-Filipa, wypowiedzianą przy otwarciu prawodawczej izby. Byłem

obecny. Lacordaire słuchałem na jego konferencjach w Notre Dame. Jego łagodne a potężne słowa już nie działały na mnie. Ogniem żyłem. Elektryczność była w powietrzu, przejmowała mnie we wszystkich żyłach moich.

Między studentami wrzeliśmy. Lew z quartier latin budził się. I przyszedł luty. Takiej drugiej rewolucji już nie bywało! Chrystus unosił się nad Paryżem. Mało gwałtu, mało krwi, żadnego grzmienia harmaty, kolby linjowego wojska podniesione do góry na znak zgody i braterstwa. Tron upadł w śmieciu, entuzjazm w niebiosy, biały pożar w duszach, nie tak czerwony na dachach — tak odbyła się rewolucja lutowa.

Byłem w niej czynny. Byłem na „placu zgody", kiedy 200.000 ludu manifestowało się. Byłem w następnym dniu we środę, o przejście króla od bulwaru, kiedy w nocy dano ognia do idącego ludu a on poniósł trupy na plac Bastylji i gotował walkę. A we czwartek wyszedłszy z domu szedłem po ulicach oczyszczonych z bruku, bo stawiano barykady. I przy jednej na zapytanie, kto jestem — obrano mnie ogłoni dowódcą

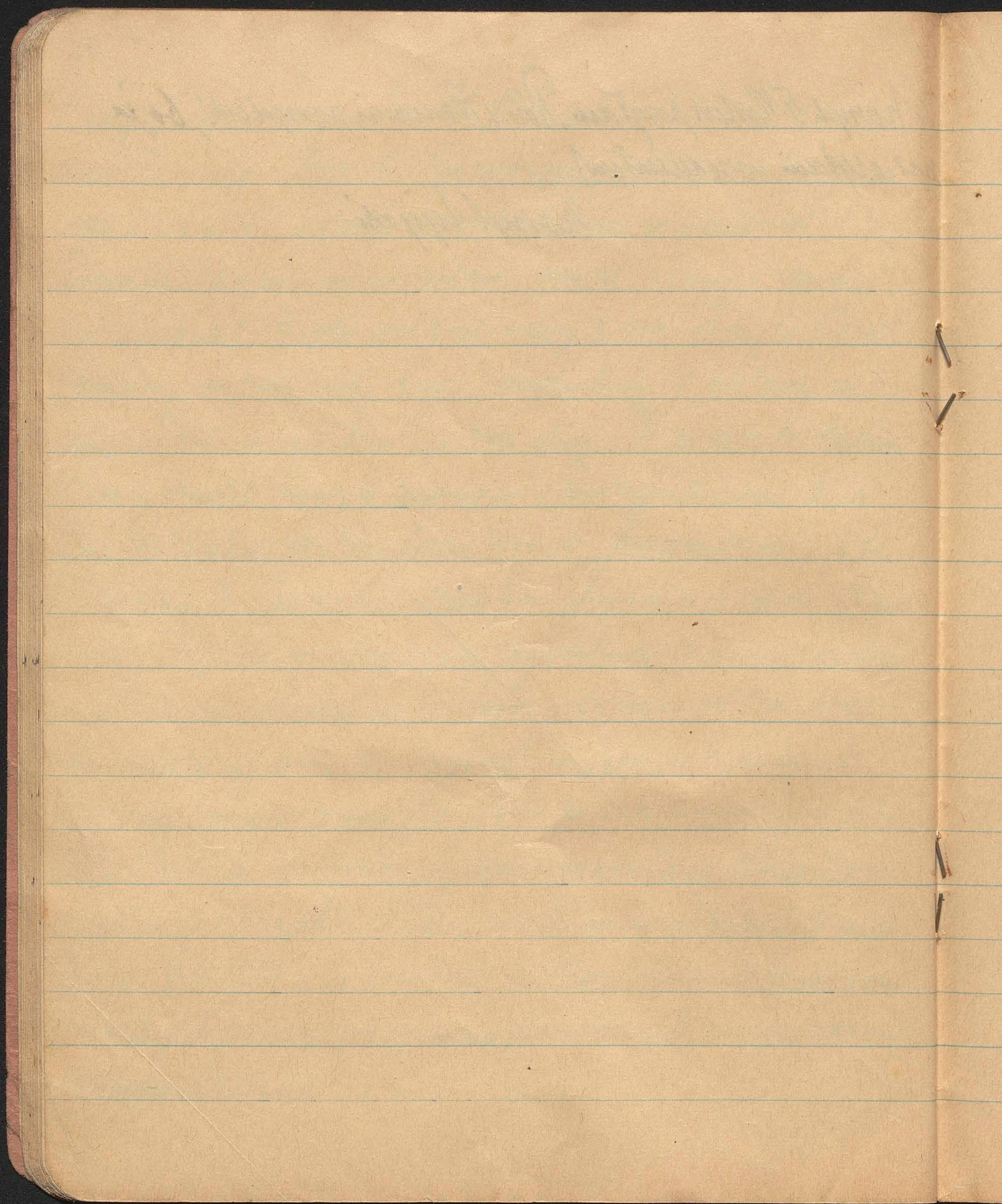
dlatego, że mi powiedział Blonais. Z bratem moim, Francuzem i studentem (nazywał się Perut) zdybałem się po drodze szczęśliwie. Niósł karabin. Podążyliśmy we dwóch na drugą stronę Sekwany. Widziałem fale zapełniające całą ulicę, kiedy od Bastylji szedł lud przez ulicę St Honoré, gdzieniegdzie zbrojny oderwanymi żelaznymi sztachetami - straszny jak huragan. Na placu Palais royal znalazłem się z moim towarzyszem ~~[illegible]~~ zbrojni jednym karabinem.
Plac zapełniony tłumem. Przed nami Kasarnia, gdzie zamknęli się municypalni. Każda ich kula trafiała. Podłożono słomę pod kasarnię. Wykurzono lisów. Dwu to było. Wybrani żołnierze z wojen algierskich. Otworzyli bramę i wyszli z bagnetami naprzód. Jeden z nich znalazł się przy mnie i przy moim Perut. Uderzył w piersi bagnetem jednego z bluziarzy. Powalił go. C'est mon frère! Krzyknął inny w bluzie i zabił go uderzeniem swego bagnetu. Padł i zgasł. Usunęło mu się czako z głowy. Padł tuż, że mnie potrącił aż upadłem na kolano. Zerwałem mu z czaka blaszanego koguta i trójkolorową kokardę - i schowałem do kieszeni na pamiątkę.

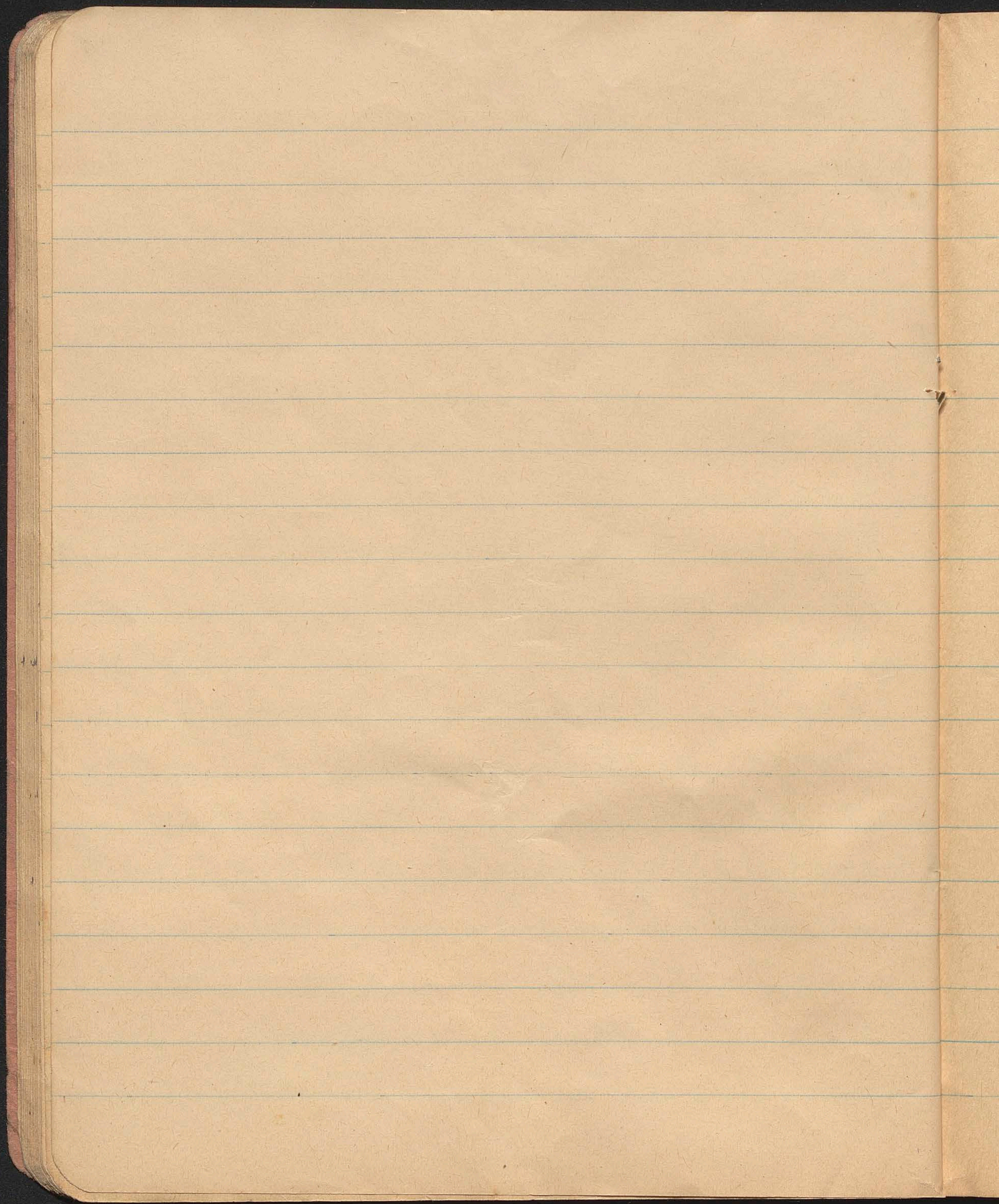
tygodniu. Byłem jakiś zimny, przytomny w głowie, chociaż cały drżałem wojenną gorączką. A ja mówiłem Pernt: Idźmy teraz do Tuileryjów. Przedarliśmy się przez tłumy. Stanęliśmy na ulicy Rivoli przy jednej, najbliższej zamku bramie ogrodowej. Brama o żelaznych sztachetach zamknięta. Po kilku chwilach widzimy, aż było nas przy bramie sporo ludzi, widzimy, że środkiem ogrodu sunie garstka. C'est le roi, c'est la reine, c'est la duchesse d'Orleans avec son petit, qui s'en vont. Krzyknęli wkoło mnie. A po chwili cały oddział wojska piechota z kolbami do góry i harmaty gromadzone na placu Karuzelskim dla obrony zamku przedefilowały ogrodem przed nami. Le chateau est vide. Krzyknięto. I barkami wyważyliśmy bramę. I do zamku! Weszliśmy w setki, może we dwieście; przed nami uciekali w popłochu liberyjni słudzy królewscy zrzucając z siebie ponsowe fraki. Szliśmy przez puste salony. Widziałem w jednym z nich zastawione na stole niedokończone śniadanie i cygara jeszcze kurzące. W sali tronowej widziałem na estradzie, ozdobionej dywanami, na deskach widziałem napis nakreślony

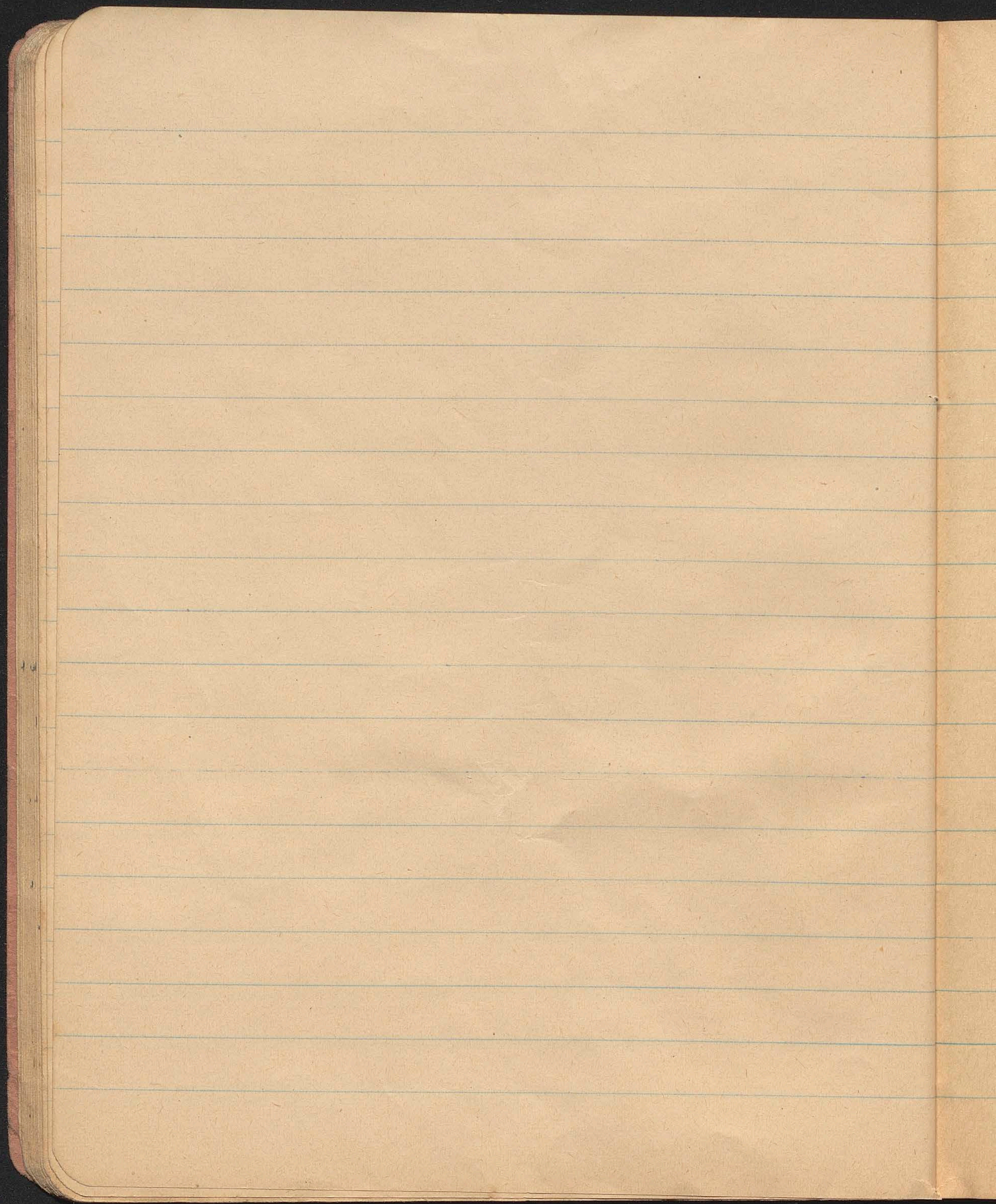
kredą: Vive la Pologne! – Kto to napisał? – Chyba ręka anioła boża. Tron stał przewrócony, po części z purpurowego aksamitu odarty. Podszedłem i urwałem kawałek aksamitu (Między mojemi gratami już go później odszukać nie mogłem) W sypialni Królewskiej z nad łóżka ja i Penet zdjęliśmy na pamiątkę krzyż i kropielnicę z perłowej macicy. Krzyż wziął Penet, ja kropielnicę, tę mam. Widziałem że inni szukali innych pamiątek. Rozbijali biurka. W jakiejś bibliotece wziąłem także książkę, mówiono mi, że to biblioteka X. Joinville. Mam ten dykcjonarz arabsko-francuski; książka według cyfry na okładce należała do księcia Orleanu. Gdzieś na podłodze podjąłem zwitek papierów zawiązany wstążką i wsunąłem je także do kieszeni. Zachowałem tylko na pamiątkę. A tu po jakichś dwunastu minutach wali się na pokoje olbrzymia masa ludu. Ledwie się przepchałem z powrotem. Wkrótce dostałem się na galerję obrazów Luwru. Już stali przy drzwiach na straży bluziarze z karabinami i każdego wchodzącego z cygarem przestrzegali, że dym szkodzi obrazom. Co za lud!

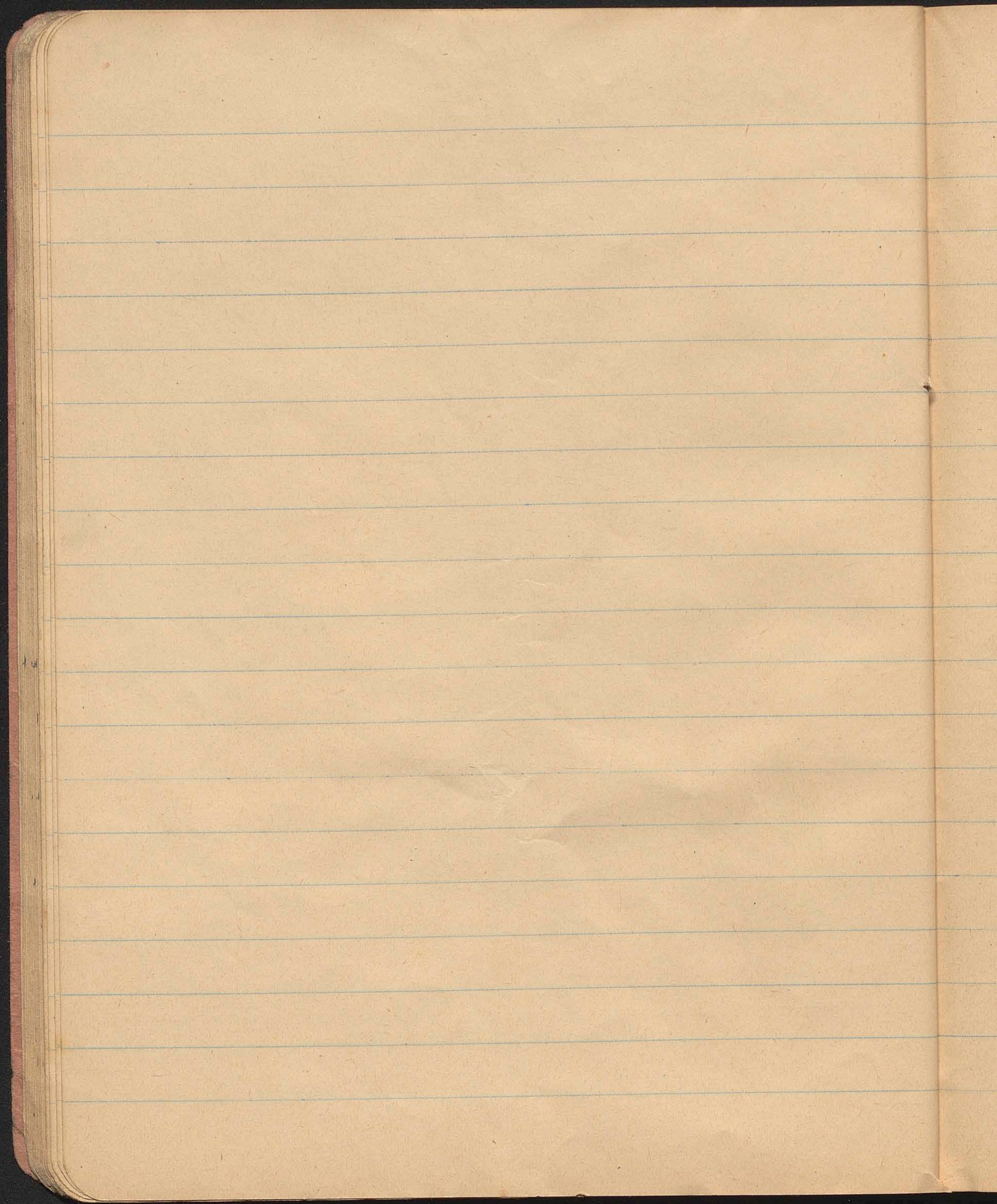
(Nowych 5 kartek posyłam. Zrób z Komami porządek, bo ja nie czytam co napisałem)

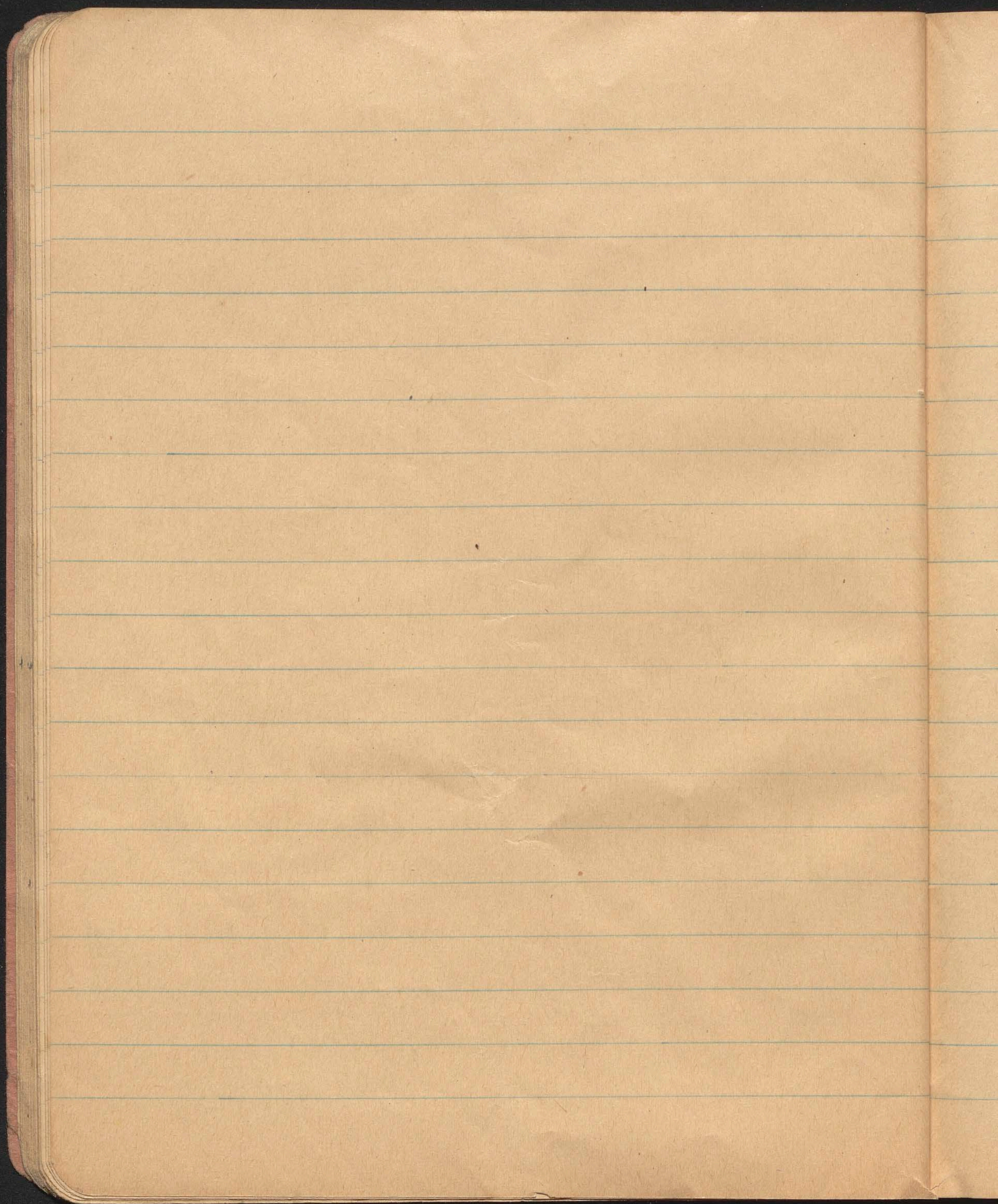
Kornel Ujejski

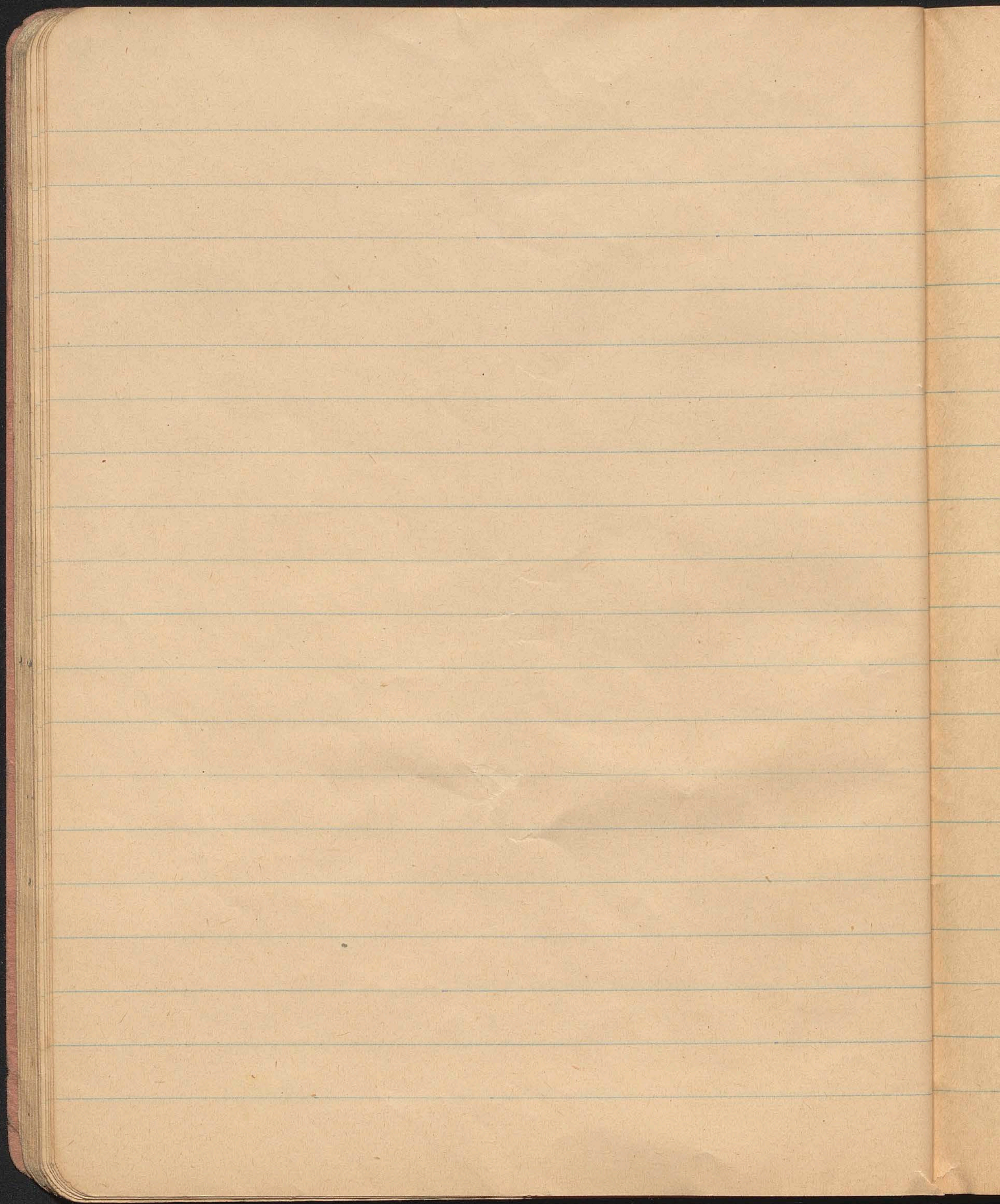


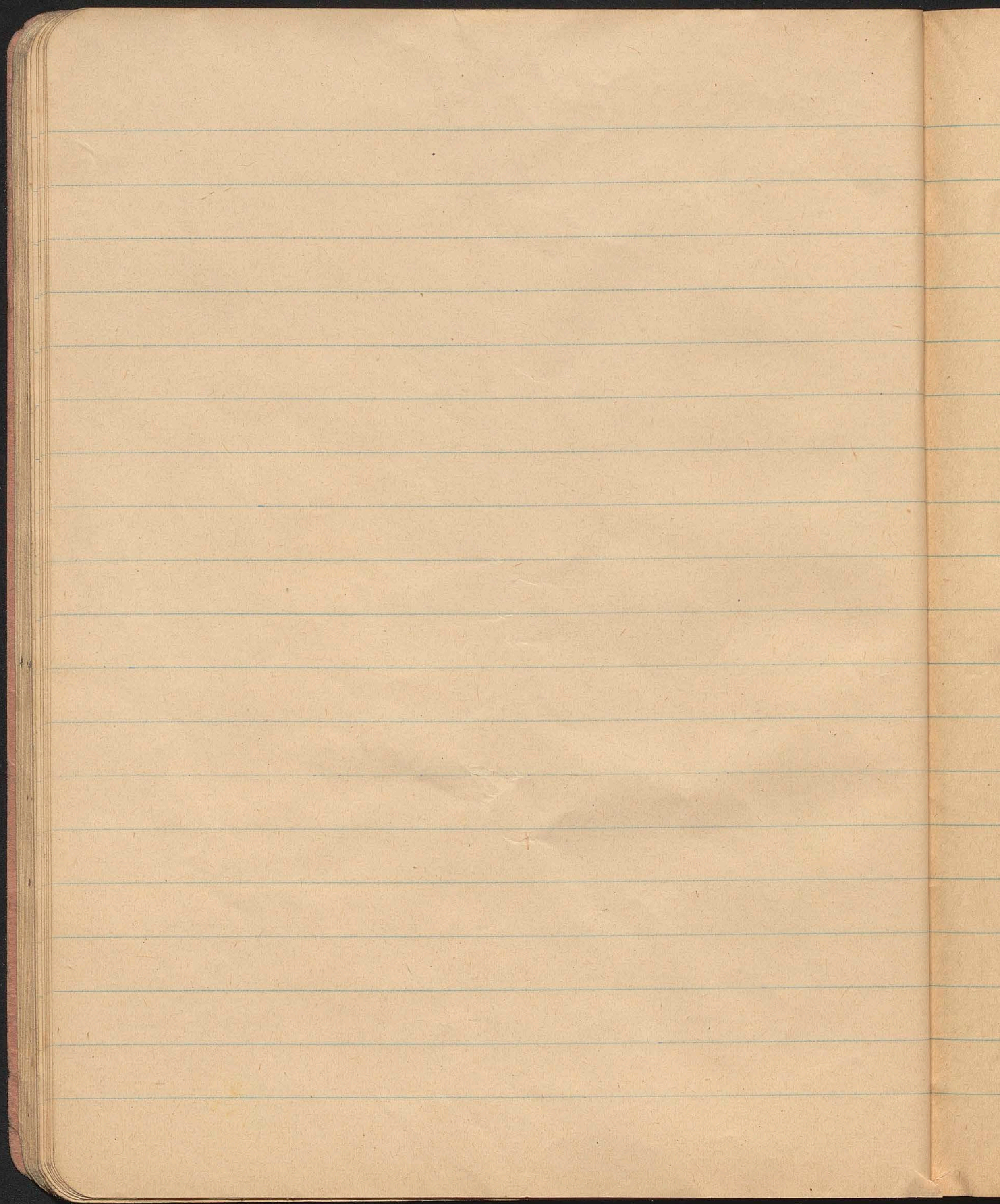


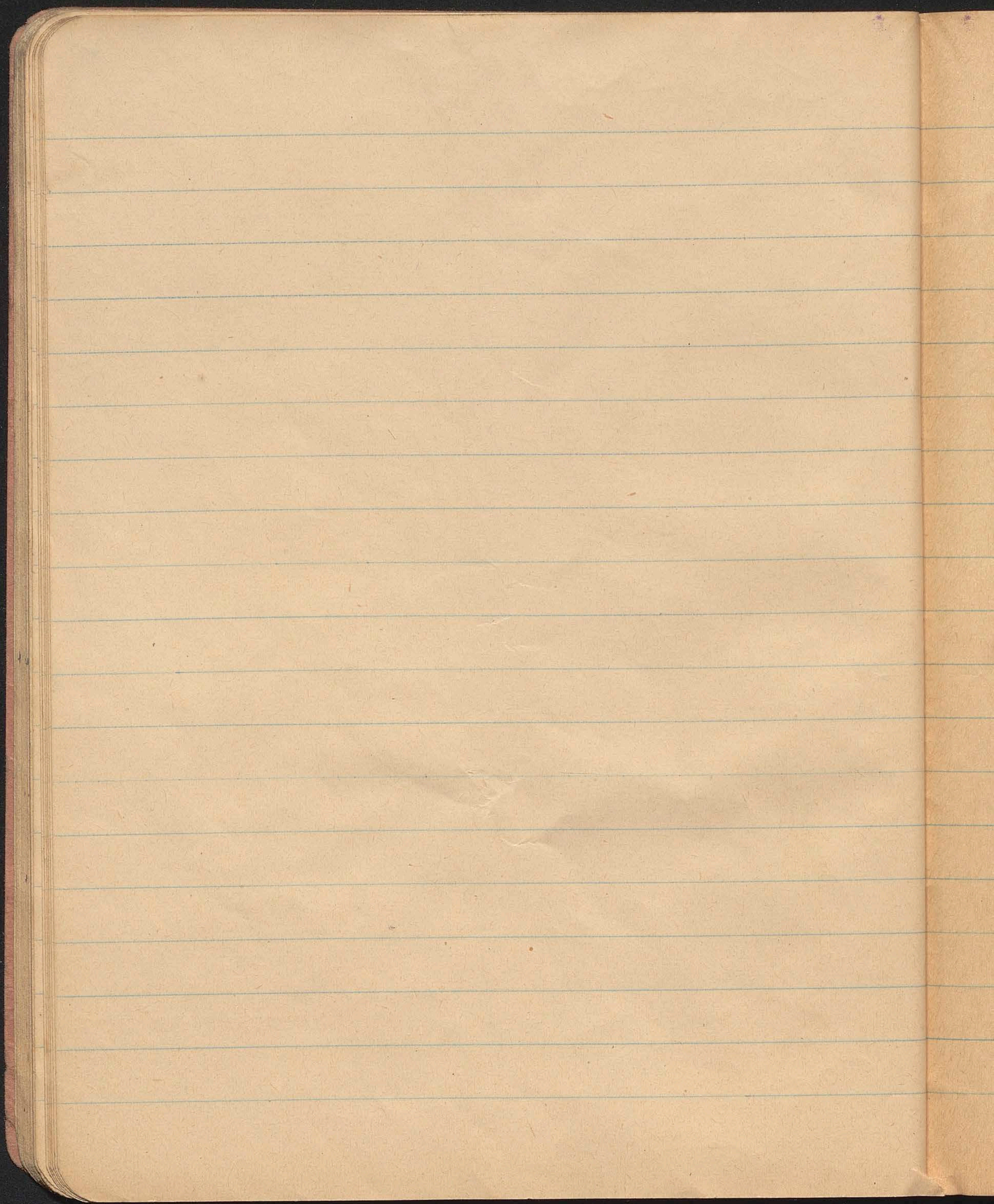


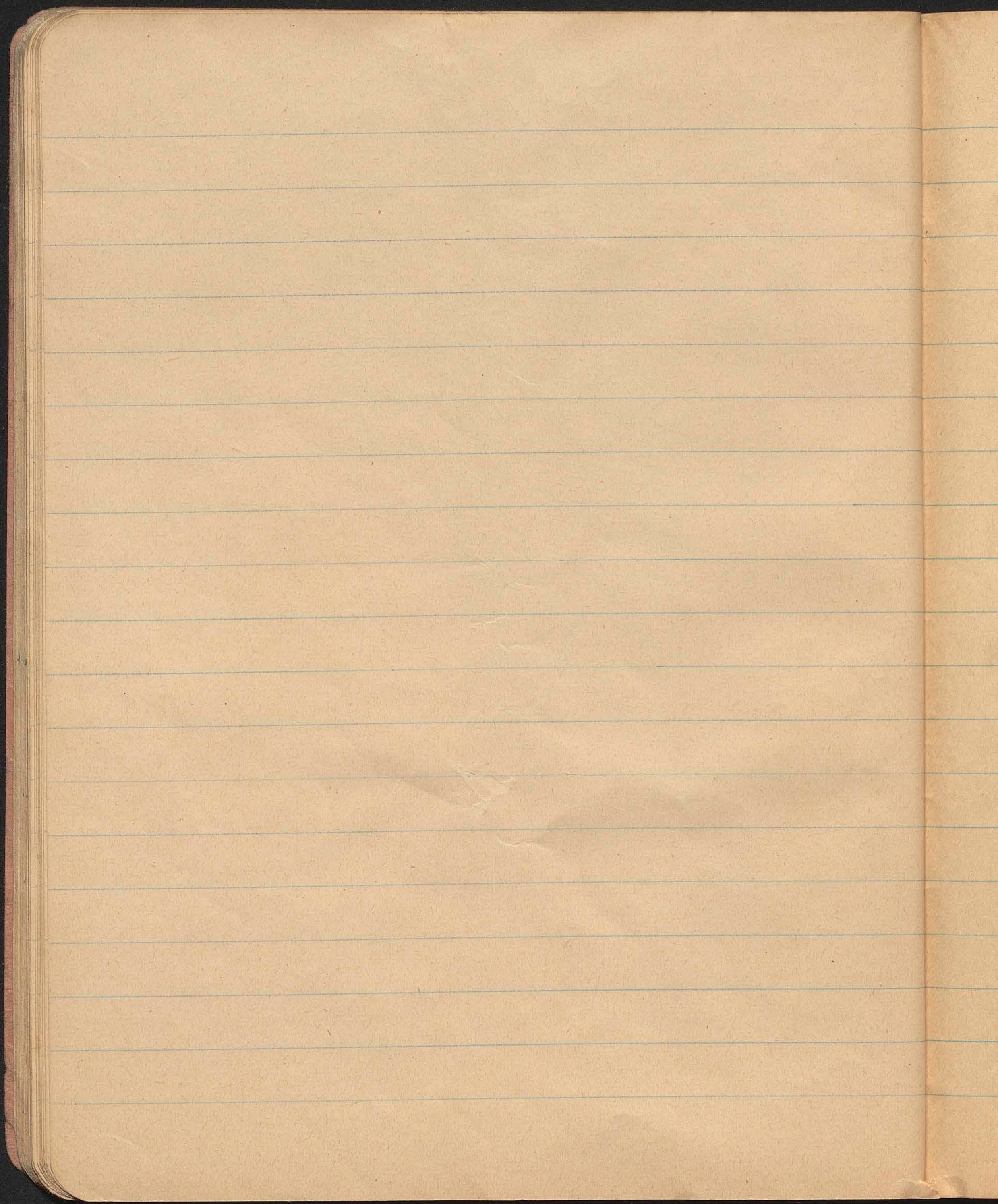


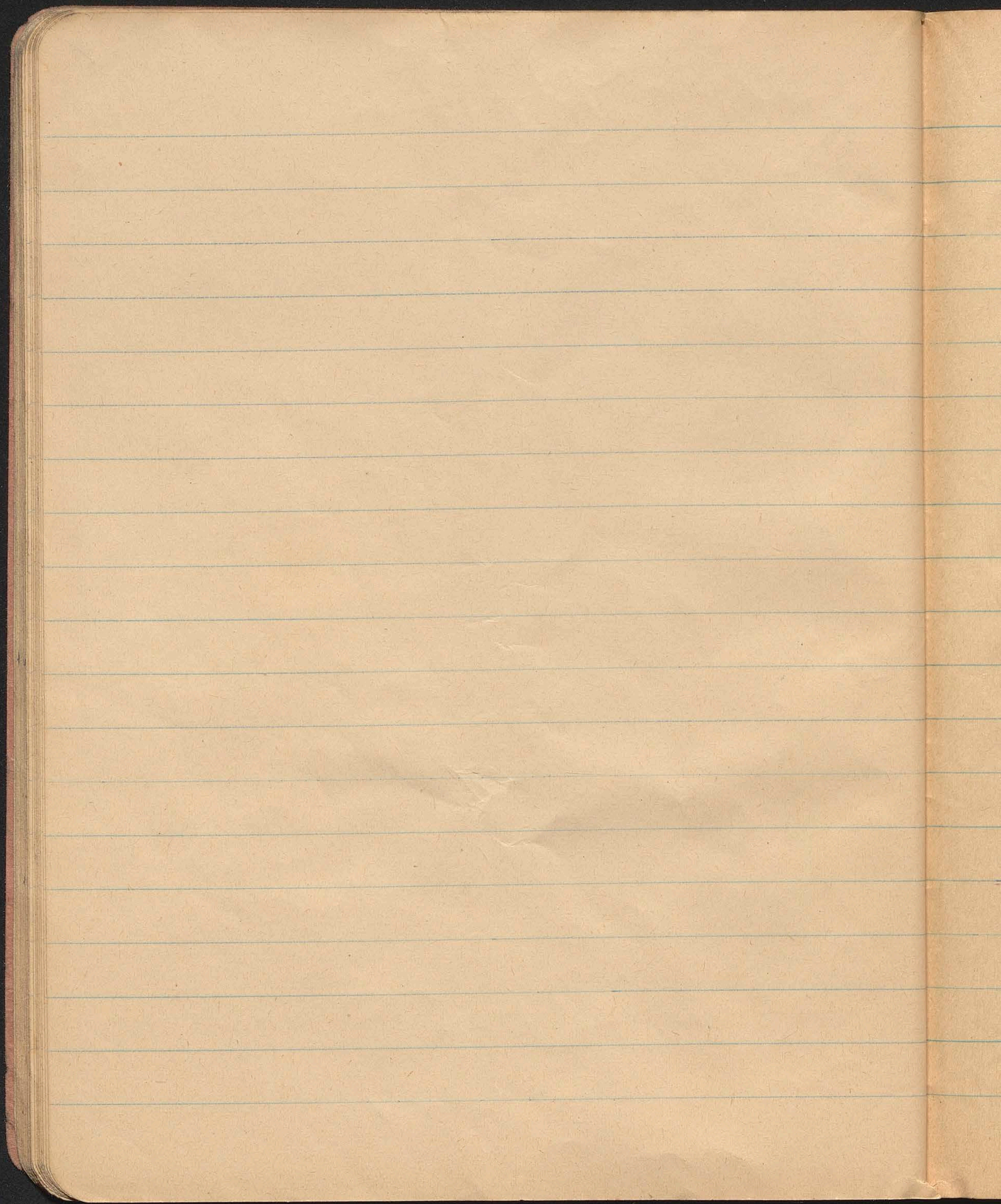


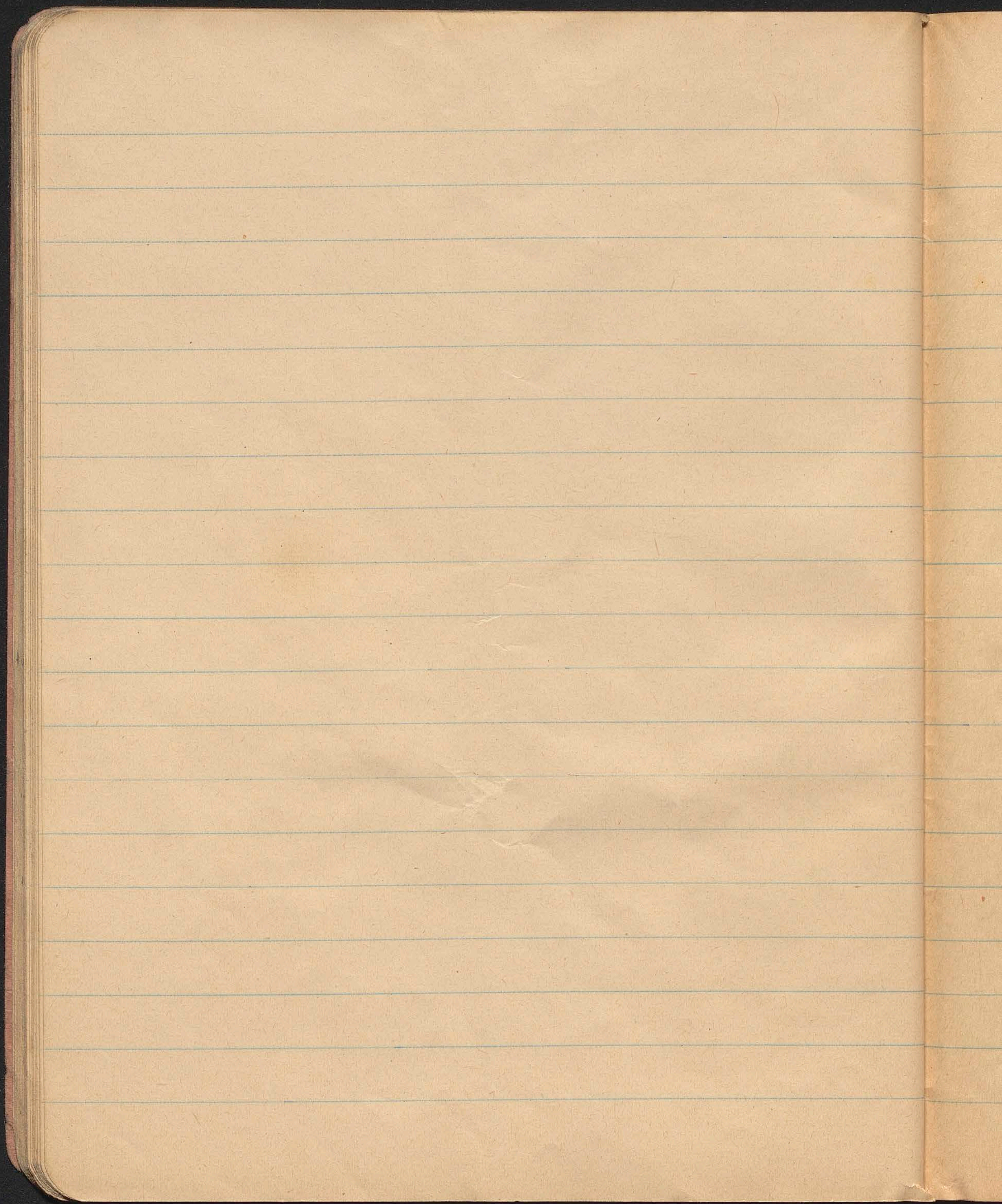


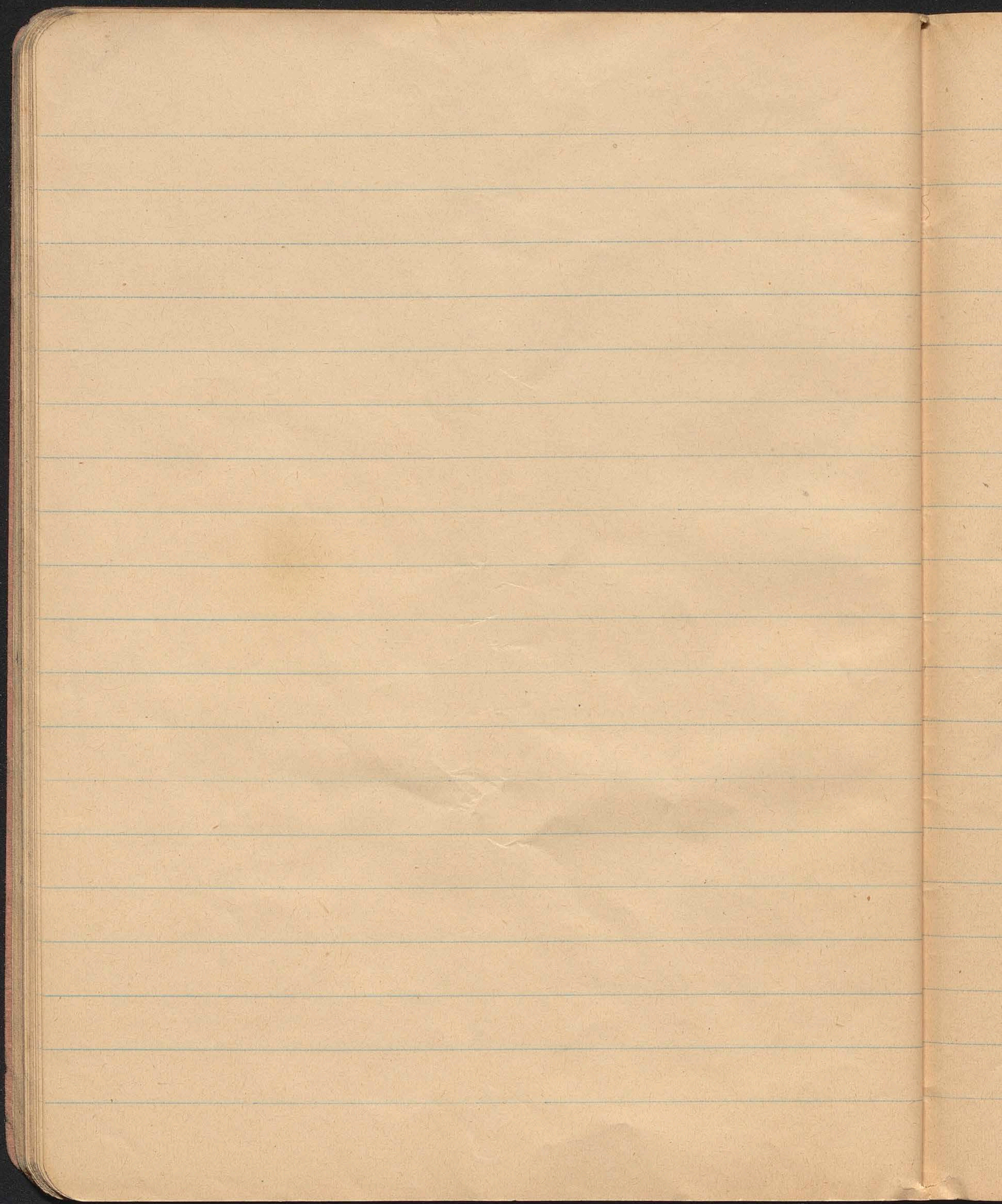


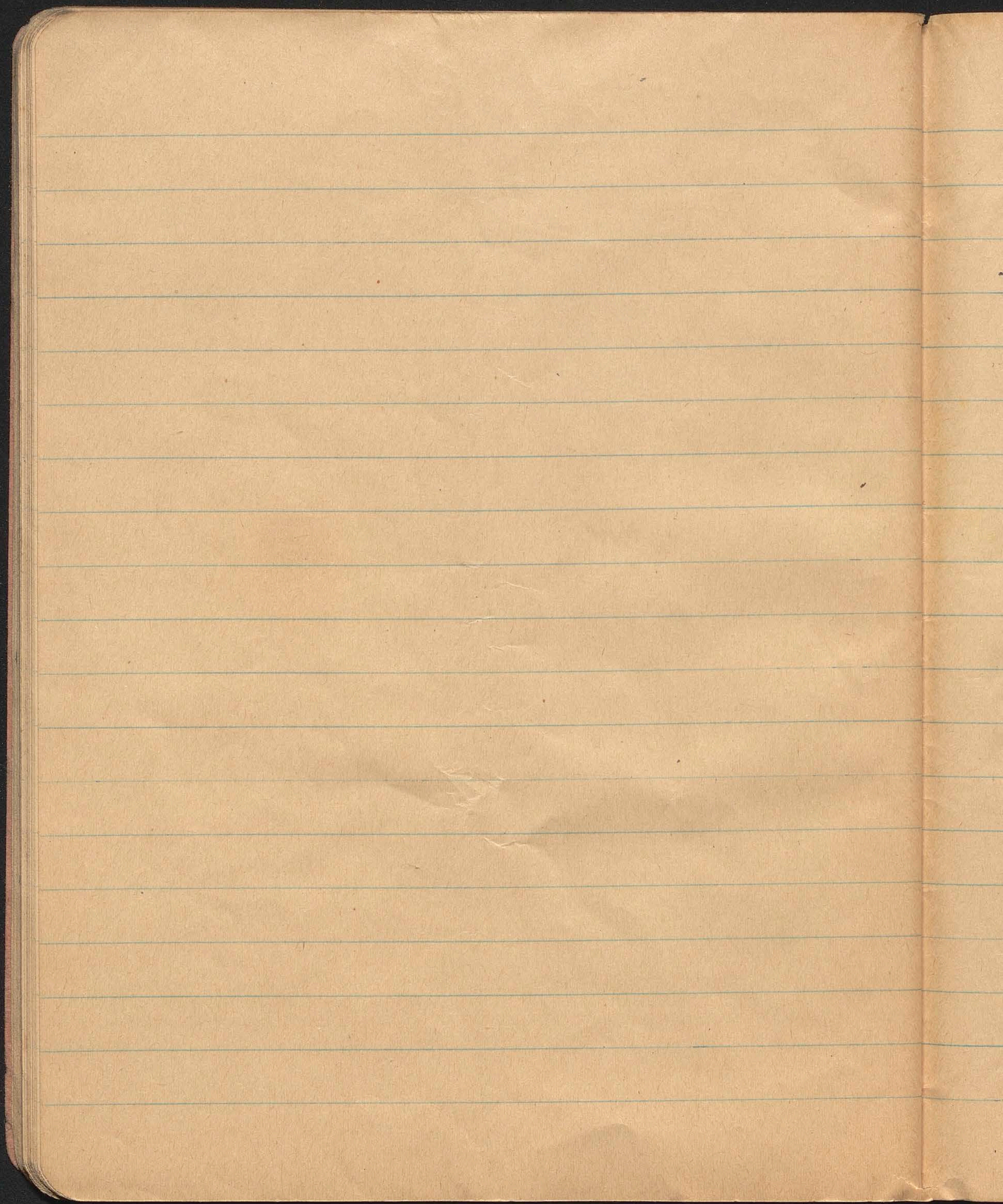


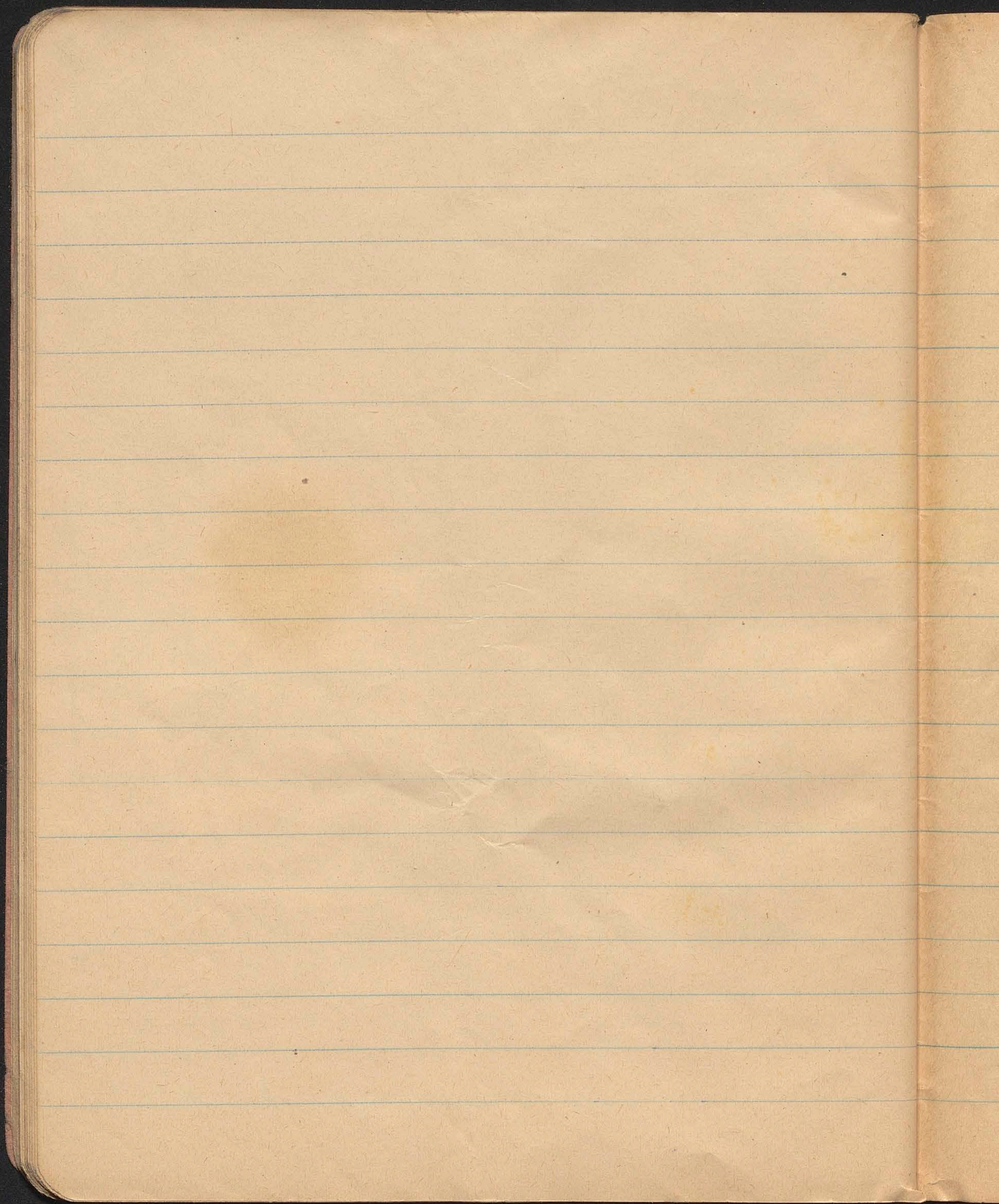


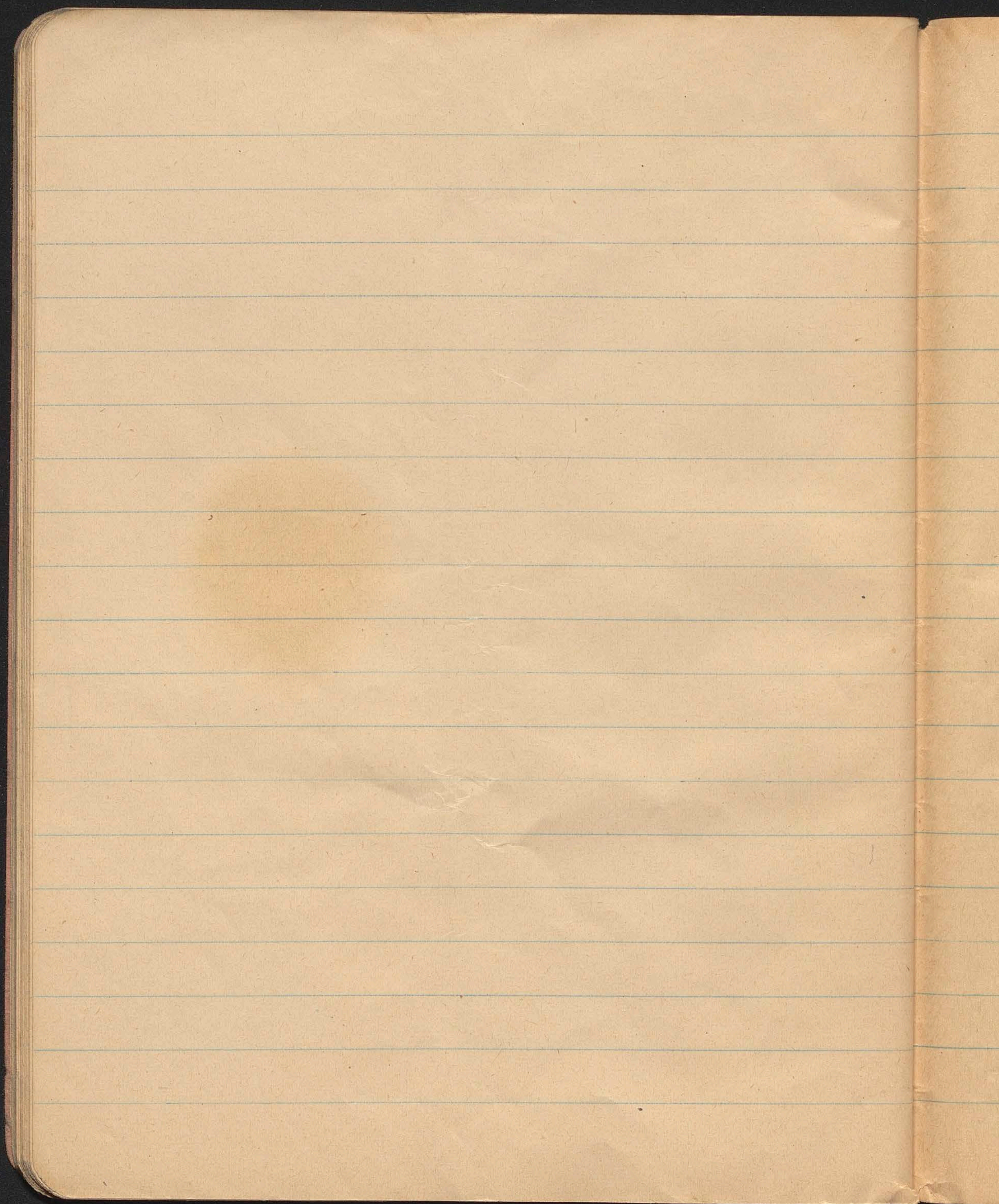


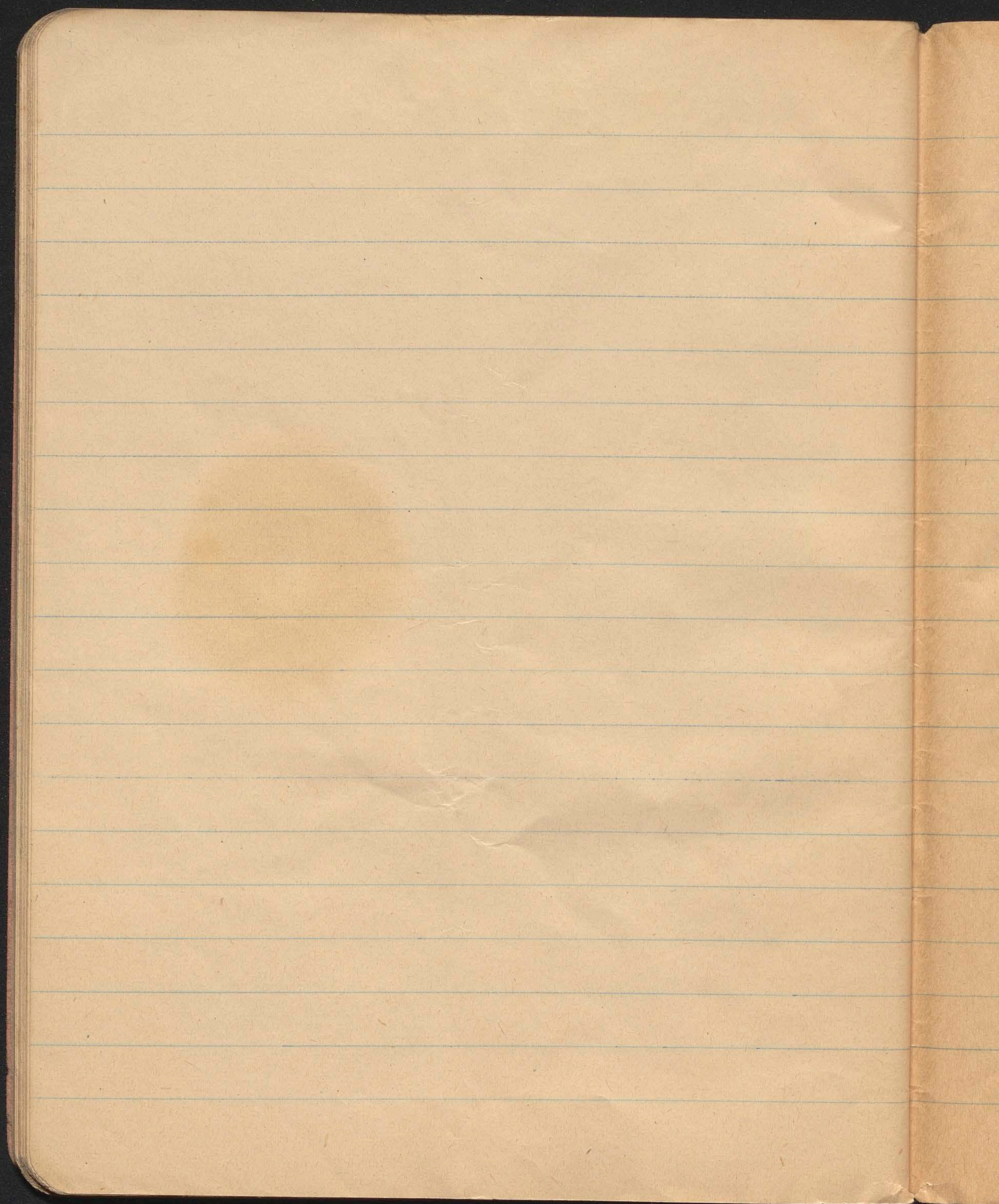


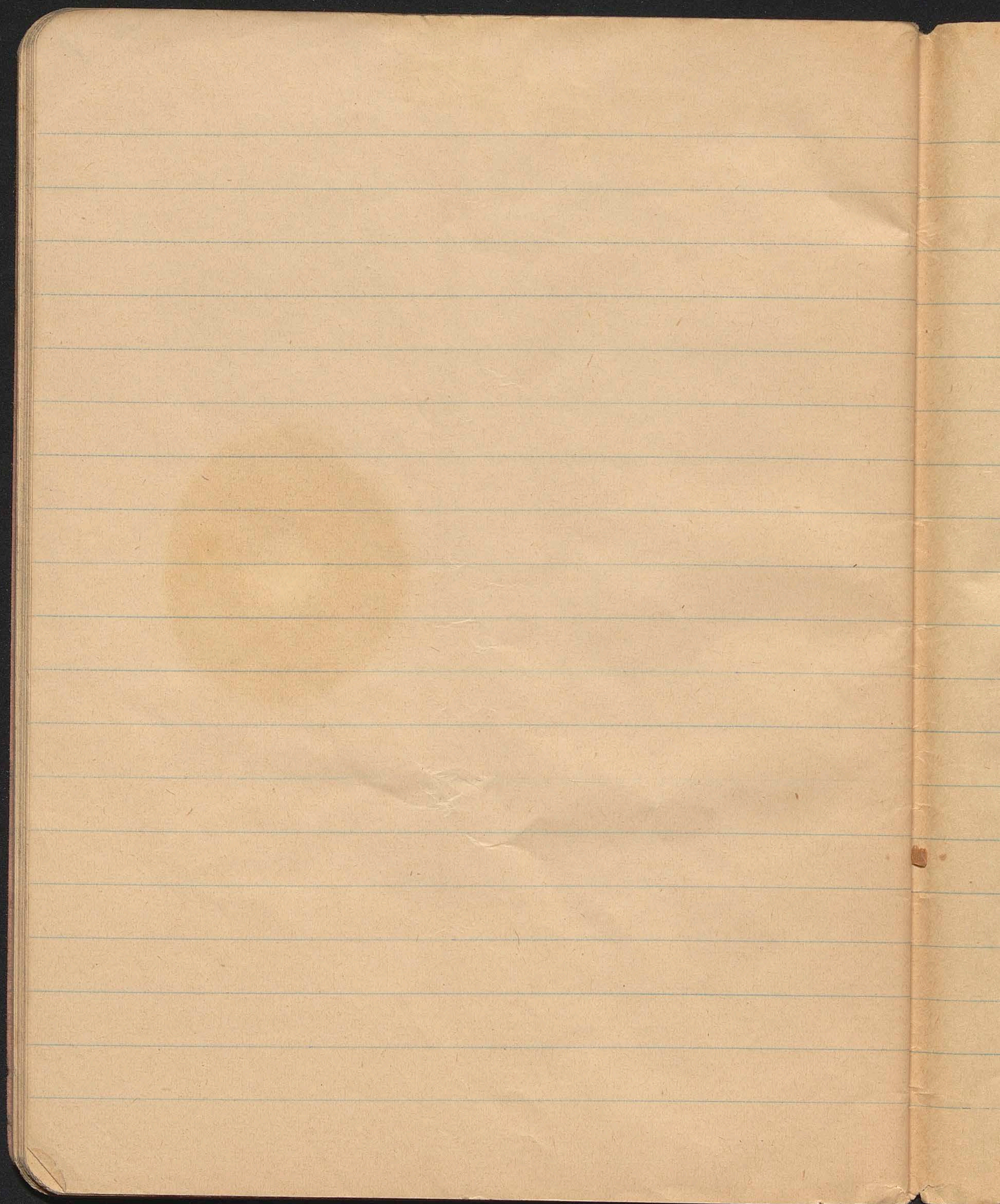












68

4366	160	330
2396	300	80
6762	460	20
		430

Amidopirin

1040

migs	160
apt	40
jabe	70
ceb –	15
brod	25
	310

800

60

Część druga. — Wczoraj

Materyały podane poniżej, o ile nie będą opatrzone komentarzem naukowym, albo wyraźnie w przypisach nie oznaczone jako przedruk — drukowane będą z rękopisów. Co się tyczy tego rodzaju ustępów, redakcya — mimo usilnych sprawdzań — nie bierze całkowitej odpowiedzialności za to, czy rękopis nie był drukowany. Jako pierwodruk podajemy rzeczy drukowane wprost z rękopisu, nieobjęte wydaniami zbiorowemi, w pismach peryodycznych po dłuższych poszukiwaniach nieodnalezione — i ogółowi nieznane.

61

Moja autobiografia.[1]

Pawłów, 15 sierpnia 1888.

Chcesz, masz — a dla Ciebie tylko!

Ja, Twój przyjaciel, urodziłem się 12 września 1823 w Beremianach, na naszem Podolu. Rodzicami mojemi Erazm i Ludwika z Wolańskich Ujejscy. Dopiero mój dziad Piotr przeniósł się na Ruś czerwoną. Przodkowie moi, zacząwszy od Bolesławowego Szreniawity, gnieździli się w Województwie Krakowskiem. Jeszcze mój pradziad Józef Stolnik sandomirski i jeden z regimentarzy Konfederacyi barskiej posiadał znaczne dobra w Tarnowskiem.

Beremiany, to cudowna wieś! jakby stworzona na kolebkę dla poety. Strypa z Dniestrem łączą się na jej gruntach. Obie rzeki płyną między górami lasem pokrytemi lub skałami. W klinie, na górze, sterczą chatami Beremiany. A za tą wsią płaszczyzna pofalowana żyznej, podolskiej ziemi i dębowe laski, tak rzadkie na Podolu. W tych naszych lasach i na polach wznosiły się starożytne wojenne mogiły. Mój ojciec odgrzebywał w środku wsi groby, gdzie broń znajdował krzemienną. Archeolog Kirkor, temu lat ośm, odnalazł pogańskie cmentarzysko i wał okrążający dawną gontynę; z grobów wywiózł do muzeum w Krakowie wiele ozdób bronzowych i czaszki naszych protoplastów. Góra nad Strypą, gdzie to cmentarzysko, nazywa się Orliska. Podobno z tej góry wyrosłem. No, w udanej skromności spuszczam oczy przytem.

Było nas czterech braci w domu i piąty jakby rodzony, syn mego stryja i zmarłej przy połogu ciotki. Ja byłem najstarszy. Jako pierworodny pieszczony byłem, a już fanatycznie do końca jej życia przez moją babkę: Chorążynę Teresę z Witwickich Wolańską. Umarła dopiero w r. 1852, doczekawszy się wnuków odemnie. Uczyłem się w domu przy nauczycielu, który nazywał się Podlaszecki. Pierwszym moim serdecznym przyjacielem był Antoś Steblecki, syn księdza ruskiego w Beremianach. Ztąd może mam miłość dla narodu ruskiego, dotąd niczem niezachwianą. Chrzcił mnie X. Łuszczyński, proboszcz naszej parafii w Jazłowcu, którego ruiny zamku nazywają Palmirą polską.

W r. 1831, mając lat ośm, widywałem często w domu rozbitków z korpusu Dwernickiego, oficerów od krakusów i hułanów, przyjeżdżających do nas konno w pełnych mundurach. Przypominam sobie, że nawet u nas w stodole, kilkudziesięciu żołnierzy polskich przez parę dni biwuakowało. Pamiętam sagany z kwaśnem mlekiem, które do stodoły wnoszono. Był pokoik gościnny w dachu domu; tam zamknąłem się i ułożyłem w myśli dwa pierwsze poemaciki patryotyczne, które potem wielkiemi literami spisałem. W jednym z nich znajdowały się dwa takie wiersze, które pamiętam:

Podajcie mi, ach czółenko,
Niech do mych braci płynę!

Zapewne Dniestrem chciałem się dostać do Warszawy. Jeszcze nie znałem geografii. Droga moja matka wyszperała kartki tych wierszy pod moją poduszką i jeździła potem z niemi po sąsiedztwie. Mając lat ośm, już miałem wietrzną sławę.

Oddano mnie wkrótce do szkół publicznych do Buczacza. Tam u XX. Bazylianów studyowałem dwie ostatnie klasy normalne i zacząłem pierwszą gimnazyalną. W tym Buczaczu nowe dla mnie cuda. Zamczysko stare na górze, gdzie wczołgiwałem się do zasuniętych gruzem lochów — i Strypa — i „kamień i na kamieniu, a tym kamieniu kamień“ — jak mówią o Buczaczu. W parwie łacińskiej, jak Ci wiadomo, utknąłem na deklinacyi Ala, chociaż urodziłem się na Orliskach. Skutkiem pomyłki był ten, że otrzymałem duże rózgi. Rozchorowałem się śmiertelnie. Chorowałem długo. Odebrał mnie ojciec z Buczacza i zawiózł do szkół do Lwowa. Zbrzydziłem sobie łacinę. Płacząc oświadczyłem stanowczo, że jej nie chcę. Chodziłem więc do szkół realnych. Mieszkałem we Lwowie u mego ojca chrzestnego a szkolnego kolegi mego ojca w Zamościu i wielkiego mego ojca przyjaciela, u Antoniego Rudzińskiego, właściciela apteki „pod złotym Lwem“ obok kościoła Bernadynów, w domu, który dotąd istnieje i gdzie także pod innem godłem apteka. Kiepsko się uczyłem — tylko z historyi i geografii byłem celujący. Nawet raz profesor historyi Strasser, który mnie lubił i różne książki mnie wypożyczał, przerwał raz prelekcyę, patrząc na mnie badawczo i spostrzegłszy z mojej twarzy, że ja to już wiem co on preleguje, powiedział: Ujejski, sage, was weiter. Powiedziałem. A pisałem także w tym czasie wiersze. Wiersze sarkastyczne na nielubianych przez nas profesorów. Kursowały one po ławkach. Schwycono je. Napróżno starano się wybadać, kto je pisał. Było wtenczas braterstwo między studentami.

Rodzice moi wypuścili w dzierżawę Beremiany i przenieśli się na

mieszkanie do Lwowa dla dozorowania edukacyi wszystkich nas pięciu. Ojciec mój, głębokiej, zamkniętej w sobie natury, chociaż najczulszego serca, był małomownym, nietowarzyskim, a oprócz poczciwego Rudzińskiego, do którego każdego dnia przed obiadem wychodził, nie szukał innych znajomości. Więc nudził się. I wziął w dzierżawę bliski Lwowa Dawidów od XX. Dominikanów. Na lichej ziemi gospodarował i tracił. Ale my studenci mieliśmy częste odpoczynki w Dawidowie biegając tam co święto, nieraz piechoto. Święta nasza matka prowadziła dom we Lwowie. Ojciec kochający Ją i nas mocno, więcej przebywał z nami, niźli w Dawidowie.

Wena moja poetyczna nie rozwijała się w mieście. Na wsi, w Dawidowie, chodząc po polach układałem wiele wierszy. Była ich cała książka, którą później spaliłem.

Przestałem chodzić do szkół, nie mogąc znieść suchej ówczesnej metody, przygnębiającej mego lotnego, ognistego ducha. Otoczyli mnie najlepsi rodzice domowymi nauczycielami. Uczyłem się w domu muzyki, języków i innych przedmiotów. Nauka systematyczna niekoniecznie mi pasowała — za to bezładnie czytałem wiele. Czytałem po całych dniach i po nocach. Walenroda umiałem na pamięć. A kochałem się przytem często i ogniście. Już miałem znajomość z Leszkiem Borkowskim, Augustem Bielowskim, później z Wincentym Polem. Podobno Bielowski dla wyrobienia języka, kazał mi dużo czytać w Biblii Wujka. Tonąłem w Biblii, która mnie zachwycała. W Dawidowie wiele pisałem. Tam, w oficynce, gdzie osobne pomieszkanie u rodziców dla siebie wyprosiłem, w dwóch nocach powstał mój M a r a t o n. Próbowałem pisać prozą. Dziesięć powieści zaczynałem — i nie kończyłem. Nie szło mi. Impetyczny — paliłem.

W r. 1845 moi rodzice sprzedawszy wujowi Beremiany, kupili kilka wiosek w Brzeżańskiem: Lubszę, Wyspę i Mełnę i tam się przenieśli. Młodsi bracia pozostali w szkołach we Lwowie, a najmłodszy poszedł do akademii inżynierów do Wiednia. Ja przeniosłem się z rodzicami i babką do Lubszy. Znowu miałem odrębne pomieszkanko w oficynach. Bez takiego odosobnienia żyć nie mogłem. Liczne sąsiedztwa rozrywały mnie, chociaż lubiałem i dotąd lubię samotność — wtedy kiedy jej potrzebuję. Rwało mnie do dalekiego, szerokiego świata — nudziłem się. Przyszedł rok 1846. Ten mną wstrząsnął do gruntu. W kilku nocach w Lubszy napisałem Skargi Jeremiego. C h o r a ł napisałem wcześniej, napisałem go we Lwowie, (bo jeździłem często do Lwowa), napisałem po wysłuchaniu muzycznej kompozycyi Józefa Nikorowicza w Zboiskach, gdzie mnie i wiele innych z młodzieży na

podwieczorek zaprosił. Słowa dorobione były do muzyki, która mnie zachwyciła.

W wycieczkach moich do Lwowa robiłem tam wiele znajomości, kochałem się, szalałem — ale także zawarłem serdeczną przyjaźń z Karolem Szajnochą i bywałem na wieczorach literackich u Kłodzińskiego, dyrektora Biblioteki Ossolińskich i u Marszałka Wasilewskiego, ojca Felicyi. Już znano mnie jako poetę i bardzo kochano.

W r. 1847 zakochałem się w ślicznym aniołku w sąsiedztwie Lubszy. Miałem lat ledwie skończonych 22, a rodzice nie chcieli mnie widzić skrępowanym tak wczesnem małżeństwem, a gdy już przedtem marzyłem o dalekich podróżach i ubierałem się w domu w strój grecki, uszyty według bajrońskiego wzoru przez orientała-żyda w Strzeliskach, więc po naradzie rodziców z Wincentym Polem, wyprawiono mnie do Paryża na naukę. Trzeba Ci wiedzieć, co domyślisz się łatwo Ty, która mnie teraz, mającego lat 65 nazywasz młodzieńcem, że w r. 1847, gdy miałem 22 lat skończonych, byłem jeszcze dzieckiem — a dziwnem. Bo używałem już świata, piłem z pełnej czary jego rozkoszy, a mimo tego miałem niewinność i naiwność dziecięcą.

Piszę jednym pędem odrazu na tych kartkach, chwytam punkta wybitniejsze z mego życia — i zapomniałem wspomnąć o człowieku, który wielki wpływ na mego ducha poetycznego wywierał. Był nim brat cioteczny mojej matki a mój wuj, Henryk Kozicki. Wiesz o tem że dopiero w ubiegłym roku pochowałem go — a byłem tak szczęśliwy, że znalazłem się natenczas na Podolu i mogłem kilka słów żalu i miłości nad Jego trumną wypowiedzieć. Otóż ten mój drogi Wuj był wielkim skarbem dla ducha mego. Wychowaniec szkoły krzemienieckiej, gorący patryota, równie gorący wielbiciel polskiej poezyi, zainteresował się entuzyastycznie mojemi próbami poetycznemi, które jemu pod osądzenie posyłałem. Dawał rady, wytykał błędy, a będąc znakomitym deklamatorem, odczytywał z zapałem na zgromadzeniach w swojem sąsiedztwie te moje pierwociny. Mieszkał w swoim majątku w Tarnawce, o parę mil od Beremian odległym — a już w parę lat po powstaniu r. 1831 działał na ducha maleńkiego poety, bo pamiętam czas, miejsce, kiedy w Beremianach, przy zgromadzonych w domu moich rodziców sąsiadach, czytał z textu francuskiego, tłómacząc go odrazu najpłynniej na język polski, biografie „100 polaków i polek“ Straszewicza.

A także zapomniałem o mojej wycieczce do Warszawy, którą odbyłem w r. 1844. Stało się tak: Na wakacyach byłem w Dawidowie;

rodzice pojechali na Podole w odwidziny do krewnych. Aż tu przyjeżdża do Dawidowa mój kuzyn i przyjaciel, trochę starszy odemnie a już właściciel Strzelisk, Wiktor Wiśniewski i mówi: W interesach jadę do Warszawy; wstąpiłem, aby cię pożegnać. A ja cały w ogniu, i do babki: Babciu, ja chcę jechać do Warszawy! — Jakże to może być, moje dziecko, rodziców niema w domu, a ty chcesz gdzieś wojażować. — Babciu, ja muszę! — No, kiedy musisz, to podaj mi moją szkatułkę. Tę szkatułkę mam dotąd. I w tej szkatułce święta ręka mojej babki zaczęła między papierami przewracać i z różnych kopert wydobywała banknoty na zasiłek mój podróżny. Więc pojechałem z Wiktorem na Chełm i Lublin do Warszawy. W Chełmie wypadł nam nocleg. Zajechaliśmy do jakiejś oberży, którą prowadziła nieszpetna panna Franciszka. Zainteresowała się młodym wojażerem, dwudziestoletnim chłopaczkiem, i mówi do nas: Mam jechać na zamówiony podwieczorek do bliskiego lasku; jedźcie panowie ze mną. Więc jedziemy. W lasku stół zastawiony i kilku oficerów moskiewskich. To mnie oburzyło. Ale w onym czasie inni byli moskale. Przy winie oświadczali się z przyjaźnią dla Polski i polaków. Jakoż ściskaliśmy się pijąc wino. Jeden tylko z podełba na mnie spoglądał, bo panna Franciszka widocznie ze mną kokietowała. Wchodziło to w jej rachubę. I koniec końcem ja z Wiktorem wróciliśmy sami do oberży — a ona gdzieś przepadła. Że też o takich głupstwach chce mi się pisać — kiedy pomijam tyle spraw i znajomości poważniejszych i ważniejszych. O uroku pierwszej młodości!...

Lublin przewertowawszy, gdzie zastałem jeszcze skromny pomnik postawiony na pamiątkę Unii lubejskiej — zwidziłem potem Puławy. W zamku był konwikt żeński. W ogołoconej świątyni Sybilli jeszcze coś znajdowało się pamiątek, także w domku gotyckim. W świątyni Sybilli płakałem. Znałem już poemat Woronicza. Przeprawiwszy się przez Wisłę, zboczyłem do Czarnolesia Kochanowskiego. Lipy już nie było. Potem do Zwolenia, gdzie grób złotego Jana. Potem przez Radom i R a s z y n do Warszawy. Miałem od Bielowskiego list do Wójcickiego. Ten był moim ciceronem. Oprowadzał mnie po Warszawie. Tu, raz rzekł, uderzaliśmy na arsenał! — Wprowadził mnie na posiedzenie redaktorów „Biblioteki warszawskiej". Po nudnych rozprawach Wilkoński zaczął opowiadać jedną ze swoich dykteryjek. Okularowe powagi kładły się po sofach ze śmiechu. Ja śmiejąc się położyłem się na stole, zielonem suknem przykrytym. Zwrócił Wójcicki moją uwagę, że to oparcie dla mnie młodego niestosowne. U Leona Łubieńskiego byłem także na literackiem śniadanku. Także

u Łuszczewskich, rodziców przyszłej Deotymy, gdzie poznałem Lenartowicza. Deotyma była wtenczas niewidziana, przy niańce. Jeszcze wtenczas nie improwizowała.

I także zapomniałem powiedzieć że na początku r. 1846, w lutym, byłem na Podolu odwidzając rodzinę. Miałem ścisłą przyjaźń z domem Wróblewskich w Czortkowie. Najstarszy syn Kazimierz (umarł w Bahii, w Brazylii. Gołuchowski wypędził go z kraju.), zdolny bardzo, autor Początku wielkiego dramatu, odwidzał mnie w Lubszy. W domu jego ojca ulokowałem się. Wciągnął mnie do ruchu rewolucyjnego. Jeździliśmy we dwóch propagując i przygotowując powstanie. Prawie nikt nie wymawiał się. Zachęta dwóch goławąsych młodzieniaszków była wystarczającą. W Rydodubach u mego dziadka, brata mojej babki, p. deputata Witwickiego, mieliśmy się liczniej zgromadzić, aby uderzyć na blizki Czortków, gdzie stacyonował szwadron huzarów. Dziadek zawołał mnie do siebie i dyplomatycznie odradzał. Babka Witwicka pobłogosławiła zięcia, synów i mnie, każdemu dała medalik i powiedziała: Idźcie, gdy potrzeba. Była straszna zawierucha śniegowa. Siodłano konie. Nadleciał z Czortkowa od Wróblewskich posłaniec z uwiadomieniem, że uderzenie na Czortków wstrzymane. Już tam doszła wieść o rzezi tarnowskiej. Adolf Rozwadowski, emisaryusz delegowany na Podole, wstrzymał wybuch podolski.

A teraz wracam do mojej podróży paryskiej. Przedtem, jeszcze jedno straszne wspomnienie. 31. lipca byłem we Lwowie. I szedłem z tłumem, który szedł za wozami, na których wieziono na śmierć męczeńską Teofila Wiśniowskiego i Kapuścińskiego. I byłem tam — i widziałem — i po raz pierwszy dowiedziałem się, że przez ból wielki zaciętość rodzi się w duszy człowieka, — a łza jest bolu profanacyą. Teraz zrozumiesz, co Cię dziwiło, gdy raz w liście wspomniałem, że po stracie Jasnej, szedłem jak kamień na posiedzenie parlamentu we Wiedniu. Wróciwszy z ekzekucyi pędziłem do najbliższego mego przyjaciela, Szajnochy, — w jego objęciu wybuchnąłem płaczem. Płakaliśmy obydwaj. A kiedy w innym strasznym dniu dla mnie, wróciłem z posiedzenia parlamentu do mojej stancyjki, tom zwalił się na łóżko, i położyłem rewolwer przy sobie — ale spostrzegłem wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa nad łóżkiem — i ocalałem.

Boże! Jak Ty mnie wodzisz, przez jakie bole i przepaści, abym stał się duchem nieśmiertelnym, Tobie na wieczność oddanym, Tobie służącym w pokorze i nieudolności mojej.

Znasz mnie. Wiesz, że w jednej chwili umiem z wysokości zstępywać i nazad w górę lecieć; że umiem hamować w sobie najżywsze

poruszenia i schodzić do spokoju. Takim mnie zrobił mój los i siła mego ducha.

Więc, nie odrywając pióra, jadę teraz do Paryża.

A jechałem, naturalnie, na Kraków. Już przedtem znałem go. W roku, podobno 1843, czy 1842, odwoziła nasza matka najmłodszego syna do Wiednia, do akademii inżynierów. I wzięła mnie ze sobą. To była pierwsza podróż moja. Więc na Kraków jechałem. Na kopcu Kościuszki zebrałem wiązkę trawy i kilka kwiatów, i poniosłem ze sobą — jako talizman na pokusy paryzkie.

Więc jadę do Paryża. Zmówiłem się z Wincentym Polem, który dla zdrowia udał się do Warmbrunu. Tam dążyłem. W Wrocławiu „pod złotą Gęsią" zdybałem się z Sapiehami. Przedtem, kiedy napisałem w Lubszy „Skargi Jeremiego" posłałem bezimiennie ich odpis X. Leonowej Sapieżynie, która już wtenczas świeciła w naszym kraju cnotą i patryotyzmem, jednającym dla niej cześć naszą. Nazwałem ją w przypisku, jak słusznie, „Kapłanką Polski". I kiedy teraz to piszę, ona żyje jeszcze. Daj jej Boże życia najdłuższego! Więc otulono mię przyjaźnie. Odwidziwszy Pola w Warmbrunie puściłem się w góry Karkonoszów (Riesengebirge). Tę wycieczkę odbyłem z Purkinim, sławnym geologiem czeskim i z jego synami. Byłem na szczycie Śnieżnej góry (Schnee-Koppe) — gdzie nocowaliśmy. Rankiem dwóch synów Purkiniego i ja budowaliśmy z kamieni wielką piramidę. Zjawił się jakiś niemiec i — pyta co robiemy. Rzekłem: Für die polnische Unsterblichkeit! —

Wróciwszy do Wrocławia, X. Leon, który odwoził syna Adama na naukę do Anglii, zaproponował mi, abyśmy razem przez Niemcy jechali. Naturalnie, że z wdzięcznością to przyjąłem. I razem pojechaliśmy do Berlina, gdzie przez parę dni zabawiliśmy.

W drodze, jadąc w jednym wagonie, mówił wiele do mnie X. Leon, dając mi skazówki, które w dalszem mojem życiu stały się przy ciężkich przejściach, bogactwem dla mnie. Z Berlina jechaliśmy razem dalej do Belgii. Była natenczas jeszcze kolejowa przerwa — między Hamm a Münden, którą odbywaliśmy dyliżansem. Nocegując gdzieś w tej przerwie, X. Leon zażądał w oberży jednego pokoju na nas trzech. Jedno łóżko było w tym pokoiku. „Wy młodzi przespicie się na materacach na ziemi". — Mówił mi raz X. Leon, że po powstaniu r. 1831, gdy zagrabiono jego wielki majątek, znalazł się w bardzo biednem położeniu i mieszkał z żoną i dziećmi w Wrocławiu, wydając dziennie 1 floren na utrzymanie. Ta prostota, szczerość budziła we mnie wiele myśli, które stały się wielkim skarbem na dalsze moje

życie — dla mnie pochopnego do lekceważenia grosza. W Bruxeli, gdzie rozchodziły się nasze drogi, bo ja jechałem do Paryża, a X. Leon przez Ostendę do Anglii, poznałem przez niego młodych Czartoryjskich, którzy przybyli do Bruxeli dla zobaczenia wuja. Byłem parę razy z X. Leonem u Skrzyneckiego. A sam, z Lucyanem Siemieńskim, do którego miałem list od Bielowskiego, u Lelewela. Bardzo to sprawy ciekawe, ale gdybym wszystko pisał, byłaby z tego księga, a ja tylko notatki kładę dla Ciebie hamując się, a folgując pióru nieraz bez sensu.

Ano, jestem w Paryżu. Zajechałem do hotelu de France na r. d'Autin. Żądam stancyi. Wpakowano mnie do dwóch paradnych pokoi dywanami wybitych. Siedm franków dziennie. Przestraszyłem się. O, ta straszna duma szlachcica polskiego! Przyjąłem dwa pokoje. Nazajutrz przeleciałem piechoto Paryż — i zaraz stanęło mi bliskie morze, morze przed oczyma. Widzić morze to jakby zbliżyć się do nieskończoności, to jakby zbliżyć się do Boga! — Wieczorem tego samego dnia, pognałem do Hawru. Z Hawru, mniejsza gdzie, na pierwszy odpływający okręt płynę do Cherburga. Miałem w drodze wyśmienitą burzę, aż się radowała dusza moja trzymająca się ciałem przy maszcie.

Tych sześć kartek posyłam Tobie — a resztę, jak Bóg da. Ani odczytuję, co napisałem — dodaj komy, gdzie potrzeba.

Cała moja pielgrzymka do morza wżłobiła się głęboko w pamięć moją. Wyjechałem z Paryża wieczorem. Noc była cicha, jesienna, księżycowa. Chociaż kupiłem bilet do drugiej klasy w Mantes przesiadłem się do klasy czwartej, której podówczas wagony były bez żadnego przykrycia. Gołe, na popielato pomalowane ławki i ciemnobłękitne niebo zamiast dachu. Jechałem śliczną Normandyą, którą stosowniej, niźli Bolonię we Włoszech, możnaby nazwać: la grassa. Takie bujne, soczyste łąki i tuczne bydło po nich; na co patrzyłem przy powrocie za dnia. I stworzony jestem na turystę. Za wszystkiem szperam w podróżach, na wszystko zwracam uwagę. Toż w Rouen zabawiłem dwa dni. Cudne miasto! stara Sekwana, niektóre ulice o domach średniowiecznych, katedra jedna z najpiękniejszych, — i plac tragiczny, na którym spalono Dziewicę Orleańską. Gdzie Jej popioły?! — Jeśli trwają dotąd w sercach francuzów, to wypędzą niemców z Alzacyi — Daj Boże! — Z Hawru do Rouen wracałem Sekwaną. Wzgórza po brzegach, a na wzgórzach ruiny starych zamków; i jeden z nich Roberta-Diabła, który śpiewał w tym czasie w operze parys-

kiej. Między Rouen a Paryżem wrzało po wagonach. Duc de Praslin został w Paryżu właśnie uwięziony za morderstwo żony. Pokazywano w przejeździe jego zamek opodal drogi kolejowej. W Paryżu widziałem tłumy przy pałacu Praslena zamkniętym, ponurym, o spuszczonych storach. W nim zamordował żonę. Na ścianie pałacu czernił się napis ręką mściwego ludu węglem nakreślony: L'ordre règne à Varsovie. Te słowa wypowiedział z trybuny, po wzięciu Warszawy, marszałek Sebastiani, ojciec nieszczęśliwej Praslenowej. Podobno żył on jeszcze. Wkrótce potem uwięziono jakiegoś byłego ministra przy obrzydliwym szkandalu w publicznym domu. Cuchnęło w tej belle France za rządów Ludwika-Filipa. Mruczał lud — było to mruczenie nadchodzącej burzy.

A ja już w Paryżu — wykąpany w morzu. Miałem list od Lucyana Siemieńskiego do Walerego Wielogłowskiego. Poszedłem do niego. Zajął się mną po ojcowsku. Zaraz, w tej samej kamienicy, na górnem piętrze najął dla mnie małą stancyjkę, gdzie się ulokowałem. Rychło dowiedział się, żem poetą. Może Siemieński pisał o tem coś do niego. Aż w parę dni pojawia się w Paryżu, w „Dzienniku Narodowym" mój Chorał, bez wymienienia autora. Ktoś z kraju przysłał ten wiersz do Paryża, a dziennik wydrukował. Zawrzało między całą Polonią. A ja mówię raz Wielogłowskiemu: To mój wiersz. Z niedowierzaniem popatrzył na mnie. — Ja mam więcej takich rzeczy — powiedziałem. Co? jakie? — i z pamięci spisałem wszystkie moje Skargi Jeremiego. Chwycił je Wielogłowski i powiedział: Będę drukować. Wielka radość dla mnie. Jako wynagrodzenie autorskie otrzymałem od niego ślicznie oprawiony exemplarz, który mam dotąd. Był on jakby dyplomem dla mnie — bardzo się ucieszyłem. Emigrancki swój grosz zaryzykował dla mnie poczciwy Wielogłowski, za co mu do zgonu wdzięczny jestem. Wątpię, czy wrócił mu się nakład. Książki drukowane przez emigracyę w Paryżu, stały ofiarą nakładców. Wkrótce potem przeniosłem się na wygodniejsze mieszkanie na rue Vaugirard, naprzeciw pałacu Luksemburgu. Zapisałem się do klubu polskiego na r. Neuve St. Augustin, gdzie chodziłem na obiady, fabrykowane kunsztem kucharza polaka. Gdy się tam pojawiłem, przyjęto mnie jakby dziecko ukochane. Już dowiedziano się, że ja jestem autorem Chorału — a tymczasem Skargi drukowały się. Prosiłem Wielogłowskiego, aby na wszystkie sposoby zakrył moje imię, drukując Skargi. Więc położył na książeczce L o n d y n zamiast Paryża — a przy końcu wierszy położył R z y m, niby tam autor je pisał i przebywał. Ta ostrożność była potrzebną. Z wielkim trudem otrzymałem w kraju paszport tylko do „Deutsche Bundesstaaten". Poczciwy Darowski pomagał mi w tem,

jeżdżąc ze mną do dyrektora Policyi, osławionego Sachera, do Winnik, gdzie ten cerber odsiadywał swoją letnią wilidżiaturę. A gdy przejechawszy Niemce, znalazłem się w wagonie na granicy belgijskiej, wszedł do wagonu żandarm żądając od pasażerów paszportów. Wyjąłem mój, brzmiący tylko na Niemce. Popatrzył na mnie badawczo, ja wymownie na niego i oddał mi paszport z lekkim uśmiechem. Widocznie nie wyglądałem na zbiegłego kryminalistę. Rozmówiliśmy się oczyma.

Więc w klubie polskim, gdzie zasiadało do stołu wiele znakomitości z r. 1831, jenerałowie, posłowie, pisarze, a których znałem już dawniej z wizerunków i ich biografii w dziele Straszewicza — byłem pieszczochem tych ojców. Tam zjawił się raz na chwilę jak blade widmo Szopen i dał mi swój wizytowy bilet z adresem i zaprosił do siebie. Tam objawił mi się równie przelotnie Słowacki, równie blady, o wielkich czarnych oczach, i znikł — a ja drżący zbliżyć się do niego nie śmiałem. Ale o Szopenie, Słowackim, Mickiewiczu, o Bogdanie Zaleskim, o Antonim Goreckim nie zaraz mówić będę. Dopiero na wyjezdnem z Paryża rozgadam się o nich przed Tobą.

Więc (to częste więc biorę z pamiętników Kilińskiego) — więc mieszkam teraz na r. Vaugirard w małym hotelu garni, wynajętym i prowadzonym przez parę auwerniaków, zdaje się chłopów; przez małżeństwo: Monsieur et Madame Dumas. Pani Dumas uprząta w pokoju, pan Dumas czyści mi suknie i cieżemki. I dlatego miałem racyę, kiedy wróciwszy do kraju, na zapytanie czy poznałem w Paryżu sławnych pisarzy francuskich, odpowiadałem z dumą: I jak jeszcze! Dumas cieżemki mi czyścił. — Cały hotelik zapełniony studentami, do których chodzą gryzetki — (już ta warstwa dziewczątek, pełna naiwności i uroku wymarła teraz w Paryżu), także znajduje się w hoteliku parę małżeństw fałszywych — a ja, jako notre cher polonais, tronuję w tym hoteliku; tembardziej, że posiadam najparadniejszy, najobszerniejszy pokój, na pierwszem piętrze, z dwoma oknami na front, dywanikiem wyścielony, za który płacę 40 franków miesięcznie z pościelą i usługą. Mam także wynajęte pianino, i szlafrok fioletowy z fałszywego aksamitu, kupiony po drodze w Wrocławiu za psie pieniądze — i także wielką cygarniczkę z jednolitego bursztynu, za którą zapłaciłem w Salzbrunie aż 7 talarów, do czego mnie namówił stary szlachcic polski, znany z kraju, aby się przypodobać pięknej kupcowej, do której się umizgał. Więc jestem en vogue — kochają się we mnie. Jadam czasem w domowym table d'hôte, a czasem w niedzielę, w jadalnym ogólnym pokoju, przez który chodzę do mego salonu, sunę

w pierwszej parze ze starą panią Dumas kontradansa, przy dźwięku mojego pianina sprowadzonego do sali balowej. Toż gdy w maju r. 1848 wyruszałem na wojnę do Polski, był płacz po mnie i lament, i wiele pięknych twarzyczek stało przy drzwiczkach fiakierskiej karetki.

A krzepko biorę się także do nauki, bo święci rodzice na to mnie wysłali, i zapewnili w tym celu mój pobyt w Paryżu na dwa lub trzy lata. Chodzę na różne prelekcye do bliskiej Sorbony i Colège de France, gdzie słucham także prelekcyi Micheleta. Ugodziłem francuza, wykolejonego literata, który mnie przygotowuje do zdania examinu w dalszym ciągu. Z dyplomem, jako bachelier es lettres chciałem powrócić do domu rodzicielskiego. Nadeszła zima i zaśnieżyła naukową moją wulkaniczność. Tańczyłem na tygodniowych zebraniach u XX. Adamów Czartoryjskich; zaprzyjaźniłem się z ich starszym synem Witoldem, serdecznym chłopcem a trochę lampartem; bywałem z nim po innych polskich domach — między innemi u X. Izy Sanguszkowej, gdzie mnie spotkała owacyjka — kiedy la table des princesses, przy którym siedziały X. Helena Ponińska i X. Eustachowa Sanguszkowa i X. Czartoryjska i jej matka X. Anna Sapieżyna, poruszył się lekko, aby autorowi Chorału udzielić parę słów uprzejmych. Na wieczorze u X. Izy olśniła mię pięknością p. Calergi, une beauté opulente, blondyna, biała jak śnieg, pełna, słusznego wzrostu. Tańczyłem z nią. Moskiewka, Nesselrodówna z domu, a lgnęła do polskich domów. I kiedy później z Adamem Kochanowskim, emigrantem z Galicyi z r. 1846, udaliśmy się do niej o składkę dla biednych emigrantów z tego krwawego roku, dała nam więcej, niż ktokolwiek z polaków, dała nam 1000 franków. Wyszła potem powtórnie za mąż za Muchanowa w Warszawie. A na jej pogrzeb cała Warszawa wyległa. I dlatego o niej wspominam — bo znajomość moja była małą i przelotną.

. . . .

A teraz pomyśl, że przy tem wszystkiem odwidzałem Mickiewicza, Słowackiego, Szopena, i umiałem duchem róść przy każdej wydarzonej okazyi. Dziwny ja człowiek. Miałem takie koneksye z Towianami. Ciągnęli mnie, ale niepoddawałem się. Byłem jakiś trzeźwy na tym punkcie, a zanadto w sobie dumny i niepodległy.

. . . .

Serdeczny był to człowiek (Henryk Służalski), z lubelskiego rodem a miał się za kozaka z Ukrainy. Był małym urzędnikiem przy kolei, robotnicy ubóstwiali go. Mógłbym o nim cały tom napisać. Korespondowałem z nim później. Przysłał mi odcięte po śmierci włosy Adama

ze Stambułu. Umarł w Trikalis u nędznych kozaków Sadyka-Paszy. — Jakiemi drogami duch mój się wodził, to przecie niezwykłe. A niech będzie Najwyższemu Bogu chwała, w którego wierzę jak w to słońce, które co dnia widzę nad sobą, żem nie zmarniał, że czuję się teraz lepszym i silniejszym niźli byłem za czasu młodości mojej. Chwała Mu chwała, chwała Jego miłosierdziu, podnoszącemu pokorny pył od zbłoconej ziemi, aby go przemienić na promień nieśmiertelny.

Co ja nie piszę w tych notatkach! Miałem zamiar na trzech ćwiartkach skończyć obiecaną autobiografię — a ona rośnie, rośnie aż mnie strach zbiera. Dla czego tak? Bo mówię do Ciebie.

Grzmi już w Paryżu. W grudniu, na prelekcyi Micheleta, student odczytuje i t o n e m persyfluje tronową mowę Ludwika-Filipa wypowiedzianą przy otwarciu prawodawczej izby. Byłem obecny. Lakordera słuchałem na jego konferencyach w Notre-Dame. Jego łagodzące a potężne słowa już nie działały na mnie. Ogniem żyłem. Elektryczność była w powietrzu, przejmowała mnie we wszystkich żyłach moich...

. . . Między studentami radziliśmy. Lew z quartier latin budził się. I przyszedł Luty. Takiej drugiej rewolucyi już nie będzie! Chrystus unosił się nad Paryżem. Mało gwałtu, mało krwi, żadnego uderzenia harmaty, kolby liniowego wojska podnoszone do góry na znak zgody i braterstwa. Tron upadły w śmieciu, entuzyazm wnieborosły, biały pożar w duszach, nie ten czerwony na dachach — tak odbyła się rewolucya lutowa.

Byłem w niej czynny. Byłem na „Placu Zgody", kiedy 200.000 ludu manifestowało się. Byłem w następnym dniu, we środę, o paręset kroków od bulwaru, kiedy w nocy dano ognia do idącego ludu a on poniósł trupy na plac Bastylii i ogłosił walkę. A we czwartek wyszedłszy z domu szedłem po ulicach ogołoconych z bruku, bo stawiano barykady. I przy jednej na zapytanie, kto jestem — chciano mnie ogłosić dowódzcą, dla tego, żem powiedział: P o l o n a i s. Z bratem moim, francuzem i studentem (nazywał się Perut) zdybałem się po drodze szczęśliwie. Niósł karabin. Podążyliśmy we dwóch na drugą stronę Sekwany. Widziałem fale zapełniające całą ulicę, kiedy od Bastylii szedł lud przez ulicę St. Honoré, gdzieniegdzie zbrojny oderwanemi żelaznemi sztachetami — straszny jak huragan. Na placu Palais royal znalazłem się z moim towarzyszem, zbrojni jednym karabinem. Plac zapełniony tłumem. Przed nami kasarnia, gdzie zamknęli się municypaliści. Każda ich kula trafiała. Podłożono słomę pod kasarnię. Wydymiono lisów. Lwy to były. Wybrani żołnierze z wojen algierskich. Otworzyli bramę i wyszli z bagnetami naprzód. Jeden z nich

znalazł się przy mnie i przy moim Perut. Uderzył w piersi bagnetem jednego z bluzistów. Powalił go. C'est mon frère! — krzyknął inny w bluzie i zabił go uderzeniem swego bagnetu. Padł i dyszał. Usunęło mu się czako z czoła. Padł tak, że mnie potrącił aż upadłem na kolano. Zerwałem mu z czaka blaszanego koguta i trójkolorową kokardę — i schowałem do kieszeni, na pamiątkę tej chwili. Byłem jakiś zimny, przytomny w głowie, chociaż cały drżałem wojenną gorączką. A ja mówię do Perut: Idźmy teraz do Tuilerjów. Przedarliśmy się przez tłumy. Stanęliśmy na ulicy Rivoli przy jednej, najbliższej zamku bramie ogrodowej. Brama o żelaznych sztachetach zamknięta. Po kilku chwilach widzimy, a było nas przy bramie sporo ludzi, widzimy, że środkiem ogrodu sunie garstka. C'est le roi, c'est la reine, c'est la duchesse d'Orléans avec son petit, qui s'en vont. Krzyknęli wkoło mnie. A po chwili cały oddział wojska piechota z kolbami do góry, i harmaty gromadzone na placu karuselskim dla obrony zamku przedefilowały ogrodem przed nami. Le chateau est vide. — Krzyknięto. I barkami wyważyliśmy bramę. I do zamku! — Weszliśmy we stu, może we dwiestu; przed nami uciekali w trwodze liberyjni słudzy królewscy zrzucając ze siebie ponsowe fraki. Szliśmy przez puste salony. Widziałem w jednym z nich zastawione na stole niedokończone śniadanie i cygara jeszcze kurzące. W sali tronowej widziałem na estradzie ogołoconej z dywanu, na deskach widziałem napis nakreślony kredą: Vive la Pologne! — Kto to napisał? — Chyba ręka anioła bożego. Tron stał przewrócony, po części z purpurowego aksamitu odarty. Poszedłem i urwałem kawał aksamitu. (Między moimi gratami już go później odszukać nie mogłem). W sypialni królewskiej z nad łóżka, ja i Perut zdarliśmy na pamiątkę krzyż i kropielnicę z perłowej macicy. Krzyż wziął Perut, ja kropielnicę. Tę mam. Widziałem, że inni szukali innych pamiątek. Rozbijali biurka. W jakiejś bibliotece wziąłem także książkę. Mówiono mi że to biblioteka X. Joinville. Mam ten dykcionarz arabsko-francuski. Książka według cyfry na okładce należała do Xcia Orleanu. Gdzieś na podłodze podjąłem zwitek papierów zawiązany wstążką i wsunąłem ją także do kieszeni. Łakomy byłem na pamiątki. A tu, po jakich dziesięciu minutach, wali się na pokoje tysiączna masa ludu. Ledwie przepchałem się z powrotem. Błądząc dostałem się na galerje obrazów Luwru. Już stali przy drzwiach na straży bluziści z karabinami, i każdego wchodzącego z cygarem przestrzegali, że dym szkodzi obrazom. Co za lud!

(Nowych 5 kartek posyłam. Rób z komami porządek, bo ja nie czytam co napisałem). *KORNEL UJEJSKI.*

Erotyki.[2])

I.

Jle to lat?... Czy my wiemy —
Podziałów niema w wieczności;
My jak dwa duchy idziemy
Przez niebo naszej miłości.

Idziemy cisi, pogodni
Przez niebo naszej miłości —
Świat zdrady, pychy i zbrodni
Znika za nami w nicości.

II.

Ach, kocham ciebie każdem serca tchnieniem,
Ach, kocham ciebie łzami i płomieniem,
Tyś moje życie i szczęście i świat —
Kocham — a nie wiem ile chwil, czy lat
Jak kocham ciebie......

Ach kocham ciebie na wieczność, na wieczność,
I nie przez stałość ale przez konieczność,
Kocham — sam nie wiem dlaczego i jak
Jak pluska ryba i jak lata ptak,
Tak kocham ciebie! —

Chwilami szczęścia moje życie znaczę,
Z nicości wstaję kiedy cię zobaczę,
Nic nie chcę widzieć oprócz twoich lic,
Nic nie chcę widzieć, ani kochać nic,
Lecz kochać ciebie! —

Ach, kocham ciebie każdem serca tchnieniem,
Ach, kocham ciebie łzami i płomieniem....
Chciałbym wynaleźć wiele słodszych słów;
Na próżno szukam — i powtarzam znów
Ach — kocham ciebie! —

III.

Wracam już do niej, ach, wracam przecie,
Długą strawiony tęsknotą —
Nie kończ się świecie! nie kończ się świecie
Dokąd ramieniem mnie nie oplecie,
Nie powie: Moja pieszczoto!

Trwoży mnie serca tak silne bicie
Jak w złem przeczuciu przed bitwą —
Trwaj moje życie! Trwaj moje życie!
Dokąd nie klęknę przed nią w zachwycie,
Nie powiem: Moja modlitwo!

Patrzę po niebie, ono bez trwogi,
Wesołe są gwiazdy nocne,
Dziękuję Tobie Stwórco nam błogi,
Że dałeś światom bezpieczne drogi
A człeku serce tak mocne! —

IV.

Wszystko zawiodło! Ojczyzna w grobie,
Bóg zasnął w niebie.
Z piekieł zwątpienia rwę się ku tobie
I sławię ciebie.

Poszły już wszystkie sny moje złote
Wiatrom na przędzę;
Dzieliłaś ze mną mej wiary cnotę —
Podzielisz nędzę?...

Gdy przez pustynię pójdę bezmierną
I drogę ciemną
Czy będziesz dla mnie dobrą i wierną
Czy pójdziesz ze mną?...

Gdybyż przy tobie zamknąć powieki,
O Antygono!
Z ostatniem słowem: Bądź mi na wieki
Błogosławioną! —

V.

W ciemnych otchłaniach duch mój się miota,
Gdy wyjdę na jasne chwile,
Niewiem co zbrodnia, niewiem co cnota,
Kocham cię!... Wiem tylko tyle.

Kiedy milczący patrzę na ciebie
Świat mi się mąci zawile —
Niewiem czym w piekle, — niewiem czym w niebie —
Chłonę cię!... Wiem tylko tyle.

A gdy mnie wezwie trąba Sądu złota
Powiem zbudzony w mogile:
Nic nie pamiętam z mego żywota —
Kochałem!... Wiem tylko tyle.

VI.

Że ciebie kocham wiedzą o tem ptaki,
Bom się przed małym słowikiem użalał;
Już żartowały ze mnie drwiące szpaki:
Czyś ty oszalał?!...

Jest w tem co mówią prawdopodobieństwo,
Chociaż nie dyszę burzą i zarzewiem;
Że mną owłada spokojne szaleństwo,
I wiem i niewiem.

Choć kocham ciebie, nie tracę spokoju
Nie chcę ni rwać się, ni lecieć, ni płonąć —
Chciałbym jak w jasnym, przeźroczystym zdroju
Tonąć i tonąć — —

Czuć że mnie ramię pieszczone otacza,
Że twój wzrok słodki pada na me skronie,
Że duch nademną, co wiele przebacza,
W naszej obronie.

Świeci znów księżyc, twój posłaniec cichy —
Czy on wyleje na me stare rany
Rosy i blasku dwa srebrne kielichy:
„Jesteś kochany!...“?

* * *

KORNEL UJEJSKI.

Z pamiętnika.[3]

19/6

Nie ma u Ciebie śmiałego polotu myśli, — żywej wyobraźni; — przyjmujesz wszystko tak jak Ci jest podanem. Ale któż dorówna Ci w dziewiczym wdzięku Twoim? — Serce Twoje jest Tobą — a Ty sama cała jesteś sercem. — Uczucie Twoje zastępuje Ci myśl, myśl Twoja jest uczuciem. Ono jest alfą i omegą, zagadką całego Twego życia. — Przeniknąłem głąb Twoją Siostro! — Lęk i ból mnie przejmuje ilekroć w nią spojrzę; — ach! a widzę Cię co dnia! — Przyszłość Twoja może być czarną jak grób. — O nic Ty nie pytasz inaczej jeno sercem — sercem najszlachetniejszych uczuć; — na to chyba świat aniołów zdolen Ci odpowiedzieć, — ziemia nigdy, albo bardzo rzadko. — Gdybym Ci mógł dać człowieka godnego Ciebie; ciszę, spokój i szczęście domowej zagrody, — dałbym Ci cały świat!

Dziwnie odzwierciedliła się w Tobie Siostro moja! piękność i posępność Twoich stron rodzinnych; wszystko w Tobie ciche, posępne, głębokie jak Twoja wioska osłonięta górami, — samaś smukła jak jodła — piękna i porywająca jak świat górski — — i ja się Ciebie wyrzec musiałem!.......... Nie mogłaś mię pokochać dla mego odszczególniania się między młodzieżą. — Pękałem się na to pierwej, — widząc moje uczucie zdeptane przez Ciebie, zdawało mi się że mię cały świat depce. — Jeśli we mnie Człowieka pokochać nie możesz Siostro moja! lepiej żeś nie pokochała bożka. Ja pokochałem w Tobie kobietę. — Straciłem Ciebie dla siebie. — Mam Cię tylko dla Ciebie samej. — Światu oddałem siebie na wszystkie lata mojego żywota.... Co on mi da? — Trochę sławy?.... zimna....! a mnie strasznie gorąco w piersiach — i grób... czarny; — a ja jasności łaknę. — —

. . . .

IB/(30 r)

R. [illegible]

71

52

72

Uwagi w sprawie

dzierżawy dóbr Kubrzy spisane przez dzierżawcę tych dóbr.

W roku 1858 w pierwszych dniach sierpnia dzierżawca Kubrzy Müller zbankrutowawszy porzucił dzierżawę, wyprowadzając nocą i ukradkiem swój dobytek. Nieoglądnąwszy Kubrzy, bo na to czasu nie było, stanąłem w biórze b. konsyliarza Magistratu Pana Gregorowicza do licytacyi z drugim współzawodnikiem. Dałem więcej, niżli on, a jak się pokazało, więcej o parę set reńskich, niżli zbankrutowany Müller - i wziąłem w dzierżawę Kubrzę na 2½ let niedotrzymanych przez Müllera.

Zastałem Kubrzę w następującym stanie: Folwark bez ogrodzenia, bez studni i bez gumna. Trakt publiczny przez dziedziniec, na którym mogiły gruzów pochodzące z ostatniego pożaru. Dom z dachem zawalonym, oficyny bez dachu. Wszystkie karczmy zrujnowane. Orne grunta z natury mokre, zimne i kwaśne bo nieprzepuszczalne i chociaż położone na wyżynie trzcina tam rośnie i pełno na nich jeziorek. - Nawóz skutkuje ledwie lat 3-4. Największa z łąk „Baranówka" zapuszczona na moczar. - Dzierżawcy Kubrzy, poprzednicy moi, prawie nie uprawiali gruntów. Skarbek używał pańszczyzny do budowy teatru i w tym celu wziął Kubrzę; Müller miał zaledwie kilkanaście sztuk bydła. Tenże wynajmował chłopom większą część gruntów za jeden reński od morga rocznej zapłaty - i mówiono, że więcej nie były warte, bo zasiany owies ledwie dwa ziarna dawał. Oprócz tego pola Kubrzeckie porzucone są

/.

na kilkadziesiąt parcieli, i do wielu z nich nie ma zupełnie żadnego przystępu, tak że opłacić się muszę corocznie trzem włościanom za pozwolenie przejazdu przez ich grunta, aby się dostać do gruntu skarbowego. – Komisya wysłana z tak zwanego Ausschussu (ówczesnej Rady miejskiej) skonstatowała przerażający stan tego największego z majątków należących do miasta. Sam śp. ówczesny burmistrz Kröbel podał mi myśl, abym wziął Kubrzę na lat 30, gdyż tylko tym sposobem dzierżawca w dalszej przyszłości mógłby mieć nadzieję odbicia straty pewnej i znacznej – poniesionej w pierwszych latach tej dzierżawy – a miasto uniknęłoby wielkich wydatków na naprawę budynków i przykrości jakiej doświadcza z powodu zmieniających się co lat kilka dzierżawców, którzy doniszczają do reszty dobra bankrutując i nie dotrzymując kontraktów. –

W ówczesnym Ausschusie zasiadało wiele nie narodowców. Uchwała jego oddania mi Kubrzy w dzierżawę na lat 30 miała na celu jedynie interes i dobro miasta, bo nikt go nie może podejrzywać, aby choćby najmniejsze sympatyczne względy dla mojej osoby wpłynęły na tę uchwałę. Zachowuję jednak wdzięczną pamięć dla tego Ausschussu, bo w stosunku jego ze mną, okazywał mi delikatność i życzliwość należną człowiekowi, który znaczną część swego majątku i pracy swego życia w cudzą własność wkładał.

Przyznano mi dzierżawę na lat 30 pod następującemi warunkami: Czynsz dzierżawny chociaż wynosił zaraz z początku o kilkaset reńskich więcej niżli płacił mój poprzednik Müller, powiększał się po każdem sześcioleciu o 315 złr. Brałem obowiązek wyrestaurowania w ciągu dwóch lat wszystkich budynków, co biuro budownicze miejskie na złr. 7 tysięcy (7000.) oszacowało. Miałem opłacać ewentualną nadwyżkę od sumy podatkowej, jaką miasto w r. 1858 płaciło, a ta nadwyżka wynosi obecnie już 400 złr. – W ciągu lat 17 wykonałem w Kubrzy następujące

amelioracyjne czynności bez żadnej bonifikacyi:
1. Wyrestaurowałem wszystkie budynki stosownie do zawartej umowy a nadobowiązkowo podniosłem mury niektórego domu na 2 stopy wyżej.
2. Wyplantowałem dziedziniec, na którym założyłem ogródek.
3. Ogrodziłem cały folwark a osobno stosowną przestrzeń na gumno.
4. Urządziłem gnojarnię ze studnią kamieniem cembrowaną.
5. Zasadziłem część ogrodu angielskiego według planu Bauera.
6. Pomierzyłem i poryzowałem wszystkie pola na ryzy 5cio morgowe, a łąki na jednamorgowe.
7. Osuszyłem rowami łany Czechackiego, Dębniach, Pietraszówkę, pod Oświą i Łuszczyńskiego, a łąki Baranówkę, Stawisko i część Szynalówki.
8. Postawiłem następujące nowe budynki:
a. szopę na wozy, b. szopę na zboże. c. stodołę na 21° długości w wartości przeszło złr. 2000. d. dwie chałupy o sześciu osobnych pomieszkaniach dla folwarcznych parobków. e kuźnię.
Oprócz tego przerobiłem dawną stodołę na stajnię dla krów, dając nową powałę z tarcic, żłoby i drabiny, - a w tym roku stawiam w mieszkalnym domu nowe podłogi drzwi i okna.

Znane są powszechnie okropne stosunki gospodarstwa we wschodniej części naszej prowincyi. Brak rąk i ogólna niechęć włościanów do zarobkowania nie pozwalają gospodarzowi dokonywać czynności gospodarskich w czasie należytym. Robi się co można, nie to, co należy. Rwie się na wszystkie strony, a sztukować i łatać, to nazywa się u nas gospodarować. Bliskość wielkiego miasta pogarsza jeszcze bardziej te stosunki opłakane. Miejscowego sługi za żadne pieniądze niedostanie w Zubrzy. Do najpowszedniejszych zatrudnień domowych, jak rąbanie drew, przywóz wody na potrzeb folwarku, obsługa w kuchni i przy bydle brakuje nieraz u mnie robotników. Powtarzająca się od lat kilkunastu procedura ze sługami jest taka: pod zimę przywlecze się do mnie rozmaita i nader podejrzana hołota, którą skwapliwie godzę i przyjmuję na służbę. Z rozpoczęciem wiosny

/

wszystko to hurtem zmawia się i ucieka do robót fabrycznych.

Zbiegają nieraz dnie i tygodnie podczas pilniejszych robót polowych, a moje zaprzęgi próżnują z braku parobków i poganiaczów. Nawet i teraz, kiedy już mam chałupy dla żonatych parobków, którzy oprócz pensyi dostają ogród i ordynaryę, nawet i teraz to się powtarza. –

Przed dwoma miesiącami sprowadziłem ze Sanockiego kilku parobków z rodzinami kosztem kilkudziesięciu reńskich, a ci zachęceni dobrze płatnym zarobkiem po cegielniach, pokryjomu opuścili służbę. Po części ratuję się w gospodarstwie Kubrzem tym sposobem, że corocznie na wiosnę wynajmuję włościanom za umówioną robociznę te łany na pastwisko, które porządkiem rotacyi w ugór iść mają, a do których łanów dla mego licznięjszego bydła nie ma przystępu; dalej wszystkie po łanach jeziorka i małe łączki, które sam od zupełnego wypasienia przez szkodników ochronić nie byłbym w stanie; nakoniec część najbardziej oddalonych i najgorszych pól zasiewam owsem na spółkę, dając chłopowi, który wykona na oznaczonej ziemi wszystkie odnośne czynności gospodarskie połowę zbioru zamiast zapłaty w pieniądzach. –

Wszakże całe Podole galicyjskie gospodaruje tym sposobem, że oddaje robotnikom do żniwa umówioną część zbioru.

Otóż ponieważ w kontrakcie moim jest paragraf wzbraniający mi pod utratą dzierżawy subarendowania Kubrzy lub wprowadzenia nowego do niej dzierżawcy bez wiedzy i zezwolenia miasta, – niektórzy pp. Radni chcą wyżej wymienione wynajęcia i zasiewanie za opłatą w snopie nazywać subarendą i chcą pociągnąć je pod rygor odsądzający mnie samego od prawa do dalszej dzierżawy.

Od lat kilkunastu odzywały się zawsze pojedyncze głosy między pp. Radnymi, które prywatnie starały się innych przekonywać, że ja z przyczyn wyżej określonych łamię kontrakt i powinienem odpaść od dzierżawy.

Nigdy jednakże publicznie na Radzie z tem nie występowano, ani razu nie przestrzeżono mię urzędownie. Trzymano nademną tę sprawę,

/.

ni to zawieszony miecz Damoklesa. Za urzędowania b. prezydenta miasta p. Ziemiałkowskiego starano się poruszyć tę sprawę. – Pan prezydent zjechał do Zubrzy, oglądnął budynki, objechał pola i uznał, że podsuwane jemu pretensye do mnie nie mają żadnej podstawy, co ustnie sam mi później oświadczył.

Dowiedziałem się teraz przypadkowo, że Komisya lustracyjna dóbr wradziła podnieść tę sprawę na nowo i w tym celu wyłoniła ze swego grona osobną komisyę, aby przez proces odebrać mi prawo do dalszej dzierżawy Zubrzy.

Owoc dojrzał a chciwość podnosi teraz rękę zerwania owocu. Dopokąd Zubrza była w stanie upadku nie kuszono się o nią – lecz teraz, kiedy po 17tu latach wielkich z mojej strony nakładów, kłopotów i pracy przyprowadziłem Zubrzę do porządku, kiedy wiele własnym kosztem postawiłem budynków, z których stodołę i chałupę w wartości złr. 2700 przed dwoma laty urzędownie miastu na własność oddałem, teraz warto już postarać się o odebranie Zubrzy dla większej korzyści miasta, choćby to miało się stać z najkrwawszą krzywdą dla dzierżawcy!

Sądzę, że nie znalazłby się w naszem społeczeństwie pojedyńczy prywatny właściciel, któryby miał cyniczną odwagę powziąć taką myśl i starać się o jej jurydyczne przeprowadzenie. – A w imieniu zbiorowego właściciela, w imieniu tego miasta, którego poczciwe imię zapisywano w dziejach Polski od lat pół tysiąca, w imieniu tego ciała, które nie na próżno nazywa się moralnem, chcą spełnić czyn tak jaskrawy, że go bliżej określać i mianować nie potrzebuję.

Więc subarendowaniem zrywającem kontrakt dzierżawy miałoby być wynajęcie ugoru na pastwisko, na czem tylko ziemia zyskuje? Subarendowaniem miałby być zasiew kilkudziesięciu morgów najgorszego pola na spółkę? A więc subarendowaniem powinno być także, jeśli za kilka dni robocizny, co się corocznie u mnie wydarza pozwolę chłopu skosić trawę na jakiej miedzy, lub gdyby własnemu parobkowi dodam do ordynaryi pół morga ogro-

do dowolnemu użytkowaniu. – Takie zbrodnie popełnia każdy dzierżawca, a żadnemu właścicielowi nie przychodziło na myśl podciągać je pod rygor exposesyi. – Przez wszystkie lata mojej dzierżawy dodaję do propinacyi w Siedlkowie wszystkie prawie pola i łąki znajdujące się w Siedlkowie i Pasiekach. Jeżeli co to to mogłoby się nazywać się subarendą, bo odstępuję trzeciemu do wolnego użytkowania znaczniejszą ilość gruntów, i to na lat kilka po sobie następujących i za czynsz pieniężny, a jednak to mi jest dozwolone, bo w §. 14. mego kontraktu znajduje się ustęp:

„Grunta które Wielm. dzierżawca arendarzom pojedyńczych
„karczem dodaje, pozostają w takich wypadkach (t.j. w razie indem-
„nizowania propinacyi) w używaniu Wielm. dzierżawcy"

Powiadają że na tem cierpi gospodarstwo polne, jeśli części zbioru obcy z pola zabierają. W tym roku wysiałem sam owsa korcy 150 a dałem na zasiew spółkowy morgów 50, a dałem dla tego, ażeby przysporzyć sobie słomy, gdyż na własne ryzyko tych pól zasiewać nie miałbym ani możności, ani rachunku. Że gospodarstwo moje na tem nie cierpi, dowodzi ilość i stan mego inwentarza. Posiadam obecnie na folwarku Kubrzy samego bydła rogatego sztuk 140. Przez wiele lat zakupywałem w Brygidkach i w szpitalu powszechnym wszystką słomę ze sienników na podściółkę. Podczas zimy kupuję znaczną ilość młóta i grysu dla bydła w tym roku np. za złr. 1000. Zdaje mi się, że to ostatnie wynagradza ubytek kilkunastu fur słomy wziętych przez spólników. Powiadają także, że sianie zboża na spółkę ułatwia chłopowi stopniowe zaorywanie się w grunta dworskie. Daj sam przód oświadczam, że nigdy rok po roku tej samej ryzy i z tym samym wspólnikiem nie zasiewałem i nigdy nie wydarzyło się aby wspólnik z moim gruntem graniczył z ryzą zasianą na współkę. A jeżeli worywanie się jest w Kubrzy ogólnie możliwem, to z innych przyczyn, a mianowicie, że grunta Kubrzeckie rozdzielone są na kilkadziesiąt kawałków, z których każdy otoczony gruntami włościan, powtóre, że na próżno czekam od lat kilkunastu, aby zrobiono przemiar gruntów, odgraniczono

/.

je kopcami i oddano mi te grunta faktycznie i urzędownie, a co przyrzekano dokończyć zaraz w pierwszych latach mojej dzierżawy, a dotąd niedokonano. Głoszą także niektórzy, że Zubrzę trzymam za bezcen a miasto wypuszczając mi te dobra na lat 30 najniekorzystniejszy zrobiło interes. Powtórzyć muszę raz jeszcze, że od początku dzierżawy płaciłem za Zubrzę o kilka set reńskich więcej, niżeli płacił mój poprzednik, który zbankrutował i uciekł; że czynsz mój dzierżawny wzmaga się co lat 6; że w restauracyę budynków, budynki nowe i inne melioracye włożyłem dotąd kilkanaście tysięcy które przypadły na korzyść miasta. Od czasu jak trzymam Zubrzę miasto nie włożyło ani centa dla niej. Jeżeli potrzebuję chrustu do oplaty, lub innego materyału dla stawianych przezemnie budynków, kupuję je za gotowe pieniądze w lasach miejskich.- Różnie głoszą niektórzy, że miasto nie ma żadnych dochodów z Zubrzy, owszem dopłaca nawet do niej. Tak nie jest. Miasto płaci za Zubrzę wraz z jej lasami tylko maximum podatku w ilości złr. 2227 ct. 47 stósownie do §. 7. kontraktu a wszystkę od tej sumy ja opłacam, pobiera zaś odemnie obecnie czynszu 2730 zaś od roku 1879 ma pobierać 3045 złr. a z ostatniem sześcioleciem dzierżawy tj od 1885 będzie pobierać 3360 złr. – a oprócz tego zyskuje miasto na podniesieniu wartości folwarku Zubrzy przez moje wkłady melioracyjne nie konfiskowane i na zapłacony już podatek od lasów.

Od dawnych lat prowadzę dokładne rejestra gospodarskie i rachunki kasowe jestem w możności podać cyfry wykazujące jakiemi są te zyski, których mi zazdroszczą i dla których chciano by mnie skrzywdzić, byle miastu korzyści przysporzyć.

W pierwszych dziesięciu latach czynsz mój dzierżawny łącznie z kosztami administracyi gospodarskiej wynosił rocznie 6–7 tysięcy zaś dochody moje brutto ze Zubrzy były następujące:

/.

w roku 1858 – złr. aw. 3366
" " 1859 – " " 4184
" " 1860 – " " 4659
" " 1861 – " " 6019
" " 1862 – " " 6564
" " 1863 – " " 5795
" " 1864 – " " 6858
" " 1865 – " " 5896
" " 1866 – " " 7866

w roku więc dopiero dziewiątym miałem 800 złr. czystego zysku za moje wkłady i prace a przez wszystkie poprzednie lata, dokładałem po parę tysięcy rocznie. W ostatnich bieżących latach przy rozszerzeniu mego gospodarstwa nabiałowego powiększyły się i wydatki administracyjne, które wraz z podniesionym czynszem dzierżawnym i znaczną nadwyżką podatkową wynoszą teraz około 10000 złr. dochody zaś moje wzrosły na 12 do 13 tysięcy brutto. Mam więc teraz od 2 – 3 tysięcy zysku. Czy to za wiele za 17 lat pracy, nakładów i strat?!

S.p. czcigodny burmistrz miasta Kröbel mówił raz do mnie: „O ile znam Zubrzę będziesz pan tracił i dokładał przez pierwszych lat 15 a w drugich latach 15 będziesz miał czas odbijać się." Spełniła się pierwsza część przepowiedni – ale ś.p. Kröbel nie przeczuwał, że po latach 15 znajdą się ludzie, którzy starać się będą o wyrzucenie mnie z dzierżawy i będą mnie traktować, jak owego Szillerowskiego murzyna.

Myliłby się bardzo ktoby sądził, że te niewielkie teraźniejsze zyski przynosi mi bezpośrednio sama dzierżawa. Zyski te ciągnę wyłącznie z mego przemysłu nabiałowego, który prowadząc przez lat kilkanaście rozwinąłem obecnie na skalę dotąd przez nikogo z okolicy Lwowa nie praktykowaną, a przemysł ten nie jest przywiązanym do gruntu Zubrzy, lecz tylko do mojej osoby.

Opuszczając Zubrzę przenieść mogę ten mój handel tj. moją klientelę do każdego innego majątku znajdującego się w obrębie

/.

76

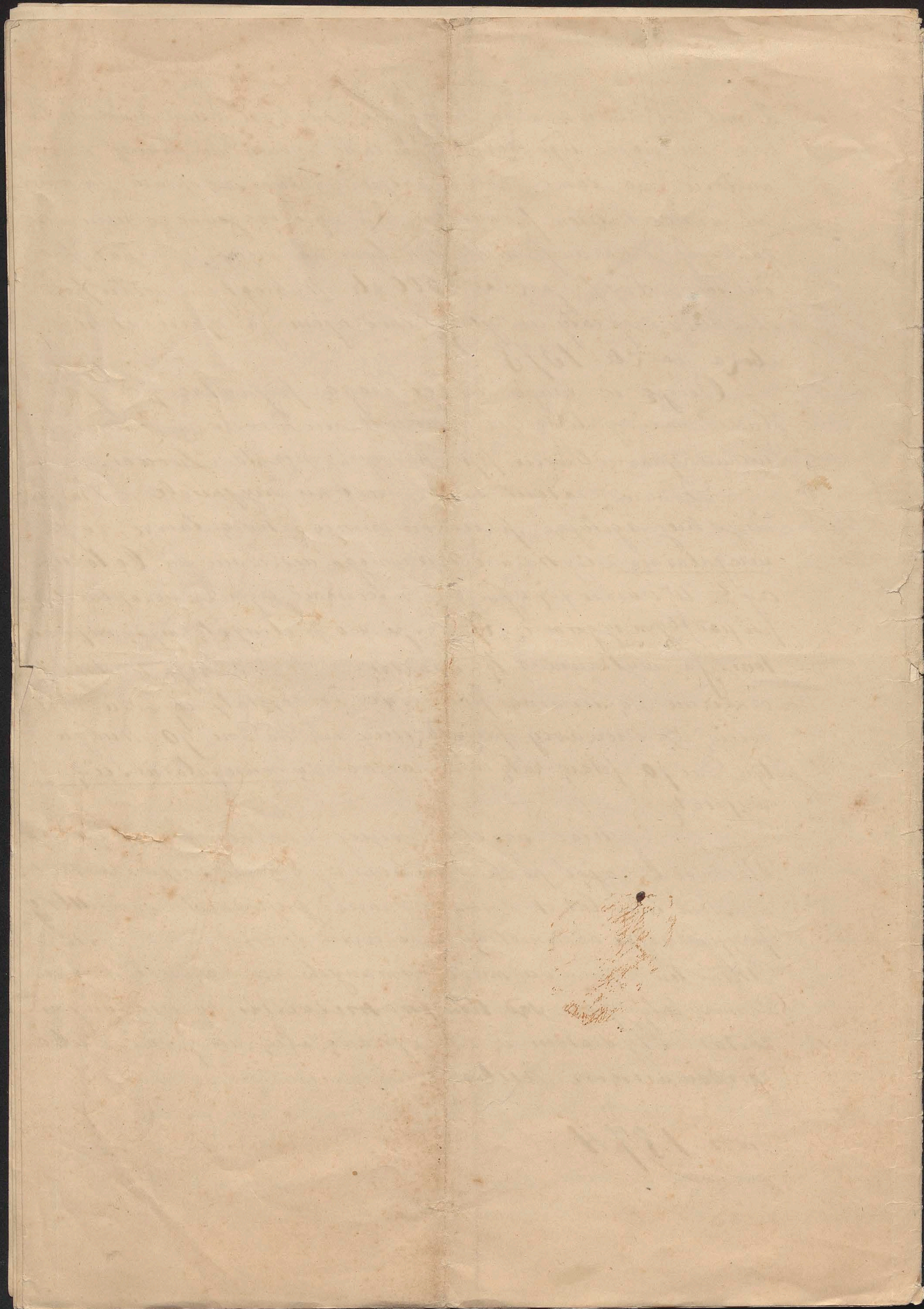
2 mil od Lwowa, albo mogę ją odstąpić komu innemu. Kubrza nie mając tego handlu spadłaby znowu do dawnej swojej wartości, bo same rolne gospodarstwo nie opłaca się u niej, nie zwraca kosztów produkcyi. Nie było ani jednego roku wciągu mojej dzierżawy, w którym bym za więcej sprzedał produktów rolnych jak za 2500 złr. W ubiegłym roku podczas kiedy kraj cały cieszył się urodzajem ja sprzedałem zboża za złr. 1378!

Oddaję te moje uwagi drogą prywatną pod sąd ludzi mnie życzliwych, a w szczególności odnoszę się z niemi do uczucia sprawiedliwości pp. Radnych miasta Lwowa.—

Dowiedziałem się, że moi nieprzyjaciele w Radzie miejskiej agitując przeciwko mnie głoszą także, że ja <u>nieregularnie</u> z czynszu dzierżawnego uiszczam się. Co to znaczy? Wszakże gdy bym raz w terminie czynszu nie zapłacił podpadłbym rygorowi exposesyi, a o prolongatę nigdy nie prosiłem. Ja wytłumaczę tę zagadkę.— W §. 3. mego kontraktu oznaczone są termina półroczne do zapłaty czynszu z wolnością dla dzierżawcy przydłużenia ich do dni 90. W ciągu tych dni 90 płacę raty i to nazywa się <u>nieregularnością</u> wypłaty.

Chcąc uzyskać więcej swobodnego czasu dla moich zajęć po za obrębem czynności gospodarskich wszedłem temu lat 4 w umowę o zarząd gospodarstwa w Kubrzy, przypuszczając administratora do części spodziewanych zysków. Układ ten z powodu niedotrzymanych mi warunków, przed dwoma laty przez sąd kompromisarski rozwiązanym został. Słyszałem iż i tę sprawę chcą nazywać subarendowaniem Kubrzy.

w r. 1874



[1846]

Kornel Ujejski

78

Szanowny Leszku!

Moje pieśni Salomona, które swoim imieniem ozdobić
pozwoliłeś z błogosławieństwem ojcowskiem, odsyłam, i
Ty jako jeden z wysokich naszych kapłanów przeżegnaj
je swoją ręką. — Wypycham te pierworodne dziécie na
dobrą czy na złą dolę, niech służy za przewodnika
całym legiónom poematów z któremi ciężarny jestem.
Ty kochany Leszku jak dotąd tak i nadal zachowaj
mi swoją przyjaźń — bądź mi doradzcą — O! bo jakby
mi brakło Ciebie nie jeden płód poroniłbym, a inne
wyszłyby na świat słabe i karłowate.
Ponieważ nie jestem ani wielkim gramatykiem ani
wielkim znawcą na komach i dwukropkach, bądź
łaskaw przejrzyć tego mądrego Salomona, co pomimo
całej swojej mądrości i znajomości świata za„
pewne dużo błędów gramatykalnych ~~[illegible]~~.ka„
wiera. Jeśliby Ci ta nudna praca nie była na
rękę, uproś odemnie Augusta żeby się chciał tą
korektą zatrudnić, a ja Wam przyrzekam zapisać
się między prenumeratorów Deszkiewicza. —
Możeby się zdało na czysto te pieśni przepisać,
to muszę jeszcze się Tobie naprzykrzać, abyś je
oddał znajomemu ci studentowi, a ja będąc
wkrótce we Lwowie, zapłacę mu za odpisanie,
niech tylko nic nie zmienia ani w formie arku„
szów, ani w rozkładzie pieśni, bo zgryzłbym

sobie, aby były tak drukowane jak ja je odpisałem — Berwińskiego Ci nie odsyłam bojąc się powierzyć go posłańcowi — Gdybyś mi kartki swojej chciał donieść, czy będziesz w tych czasach w Wiśniczkach, tobym przyleciał wierzchem do Ciebie i odwiózł pożyczone książki i przeprosił za moje zlecenia i wystawił moją cześć dla Ciebie. —

O! gdyby mi Bóg pozwolił wystąpić kiedyś z dziełem, coby jakąś wartość posiadało, na jego karcie śmielej położyłbym Twoje imię niż teraz, kiedy nie mając nic lepszego, dla okazania mojej wdzięczności muszę Ci tę samotę ofiarować —

Pozdrawiam Cię jako

Przyjaciel szczery

Kornel

Lubcza – Piątek –



Wielmożny Leszek

Dunin Borkowski.



Mając od niejakiego czasu sposobność widywania częściej
syna Pańskiego Korneta a przytym uważania jego zdolności
i poznania jego widoków kiedy mi nareszcie nie tak mi swoich
domowych stosunków i z cierpiącym sercem opowiadał o zamiarach
jakie Państwo z nim macie na przyszłość, ośmielam się udzielić
Państwu tutownie uwag moich i mojego sposobu widzenia
~~stan wzgledzie~~ nie przeto abym się mieszał do Jch postanowień
lecz abym dał temu młodemu człowiekowi dowód mojej życzliwości
~~Państwo zaś da~~ a zarazem Państwa przekonał o szacunku
i sprzyjaniu z jakiemi jestem dla całego ich domu,
Przedewszystkiem zaś muszę Pana uprzedzić iż nie należę do tych głów
gorących które świat cały widzą w barwach idealnych zapoznając wsze-
czystość istotnych potrzeb i położeń, owszem czuję aż nadto dobrze że
literatura w kraju naszym nie tylko nie przynosi korzyści nie tylko
nie jest w stanie zapewnić przyszłości i lichego nawet dać utrzymania ale
nadto połączona jest z tysiącznemi przeciwnościami, tak dalece iż aby się
pomimo tego jej poświęcić i wytrwać w obranym zawodzie potrzeba na-
dzwyczajnej rezygnacyi i silnego wewnętrznego popędu który jest natu-
ralną skazówką swojego przeznaczenia. Powtarzałem to i powtarzam zawsze
synowi pańskiemu i uznaję wpływ zdrowy rozsądek pańskiej i prawdzi-
wie ojcowska troskliwość że go nakłaniał do innych praktyczniejszych
zatrudnień. Ale kierunek jaki raz dusza ludzka weźmie skutkiem wyobrażeń nieda
przyrodzonych swoich zdolności i nabytych z nauk wyobrażeń, złamanie tego
się bez niebezpieczeństwa od razu odwrócić i zwichnąć, złamanie tego
kierunku pociąga za sobą najczęściej fixacye, melancholię i tym
podobne słabości nawet cielesne tak dalece iż człowiek nie tylko nie
staje się zdatnym do czego go usposobić chcieli ale nadto staje się
nie zdatnym do niczego. ~~i pracowitość niewczesnej~~ Uważać zatem
należy aby ze zbytniej troskliwości o przyszłe dobro nie stać się przy-
czyną niewinną przyszłego nieszczęścia. Syn pański jeszcze bardzo jest
młodym zdolności jakiemi obdarzyła go przyroda a jakie dotychczasowe
nauki bardziej jeszcze rozbudziły dzisiejszego niespokojnemu, dusza
jego wymaga dalszego swojego kształcenia i rozwijania jest to
popęd gwałtowny jaki jej nadała natura i dotychczasowe wychowa-
nie, aby się oprzeć tej sile on sam jest za słaby, cała jego chęć ule-
gnienia widokom i woli rodziców nic tu nie może byłoby to wpro-
wadzać sprzeczność i niezgodę w jego własną istotę wewnętrzną
Nie lepiej-że jest zostawić jeszcze parę lat czasu aby się umysł
jego nieprzeszkodzenie rozwinął i uspokoił przeto zdanie
się rozsądniejszym pogodzić swoje ulubione zajęcia z praktyczniej-
szymi zatrudnieniami to jest z takiemi które chleb dają a
których chwycić się każe później rozwaga i oględność.
Dwa lata czasu nie mogą Panu w zamysłach jego tak wielkiej spo-
czynić różnicy abyś ich nie mógł poświęcić dla ~~dobra~~ spo-
kojności swojej; dla spokojności syna a może i dla
dobra

~~Kraj~~ ojczyzny. Wszakże tyle poświęcamy dla niej bez żadnych osob-
bistych korzyści, poświęcamy jej krew i życia dzieci naszych a nie chcie-
libyśmy poświęcić ich zdolności? Wierz mi Pan że nie chcę podchlebiać
i ~~zgadzałoby~~ się zwodzenie z charakterem mojem ale według do-
tychczasowych moich postrzeżeń uważam w synu Pańskim niepospo-
~~lite umysłowe~~ talenta może nawet zarody przyszłej chluby rodziców
zaszczytu rodziny i ~~Ojczyzny~~ narodu. Przyszłość to tylko okaże czyli my
sami nie byli zwiedzieni ale nie odbierajmy mu tego czym go obdarzy-
ła opatrzność; wie ona najlepiej do czego ludzi przeznacza i ja-
kimi drogami ich prowadzi. Nie mogę tu także pominąć
godnej wszelkich zaleceń uległości dla nieprzytomnych nawet rodzi-
ców i umiarkowania z jakiem mi syn pański opowiadał o sprzecz-
nościach zamiarów z jego dotychczasowymi zamiarami; ta rzadkość serca
i szlachetność uczuć synowskich ujęła mnie więcej jak wszystkie
ozdoby umysłu i owocem synów takich sobie życzę
Nie śmiem się dalej wciskać w postanowienia pańskie i Jego
plany uczyniłem już wszystko czego wymagała po mnie słuszność
i nie obojętna gorliwość. chciej Pan przebaczyć jeżeli osądzisz że
nie do swojej wdawałem się rzeczy; a ja raz pewny jestem iż cokolwiek
Pan uradzisz w rostropności swojej będzie to zawsze zgodne roz-
sądkiem i uczciwością prawego obywatela i Ojca. —

Brulion listu Leszka Borkowskiego do Szyplewic

Leszek Borkowski do rodziców Kornela Ujejskiego.

Mając od niejakiego czasu sposobność widywania częściej syna Pańskiego Kornela a przytym uważania jego zdolności i poznania jego widoków, kiedy nareszcie nie taił mi swoich domowych stosunków i z cierpiącym sercem opowiadał o zamiarach jakie Państwo z nim macie na przyszłość, ośmielam się udzielić Państwu listownie uwag moich i mojego sposobu widzenia, nie przeto abym się mieszał do Ich postanowień, lecz abym dał temu młodemu człowiekowi dowód mojej życzliwości a zarazem Państwa przekonał o szacunku i sprzyjaniu z jakiem jestem dla całego Ich domu.

Przedewszystkiem zaś muszę Pana uprzedzić iż nie należę do tych głów gorących, które świat cały widzą w barwach idealnych zapoznając rzeczywistość istotnych potrzeb i położeń, owszem czuję aż nadto dobrze, że literatura w kraju naszym nietylko nie przynosi korzyści, nie tylko nie jest w stanie zapewnić przyszłości i lichego nawet dać utrzymania, ale nadto połączona jest z tysiącznemi przykrościami, tak dalece iż aby się pomimo tego jej poświęcić i wytrwać w obranym zawodzie potrzeba nadzwyczajnej rezygnacyi i silnego wewnętrznego popędu, któren jest naturalną skazówką naszego przeznaczenia. Powtarzałem to i powtarzam zawsze synowi pańskiemu i uznaję w tym zdrowy rozsądek Pański i prawdziwie ojcowską troskliwość żeś go nakłaniał do innych, praktyczniejszych zatrudnień. Ale kierunek, jaki raz dusza ludzka weźmie wskutek przyrodzonych swoich zdolności i nabytych z nauk wyobrażeń nie da się bez niebezpieczeństwa odrazu odwrócić i zwichnąć, złomanie tego kierunku pociąga za sobą najczęściej fixacyę, melancholię i tym podobne słabości nawet cielesne, tak dalece iż człowiek nietylko nie staje się zdatnym do czegośmy go usposobić chcieli,ale nadto staje się niezdatnym do niczego. Uważać zatem należy aby ze zbytniej troskliwości o przyszłe dobro nie stać się przyczyną niewinną przyszłego nieszczęścia. Syn Pański jeszcze bardzo jest młodym, zdolności jakiemi obdarzyła go przyroda a jakie dotychczasowe

nauki bardziej jeszcze wzbudziły, czynią go niespokojném, dusza jego wymaga dalszego swojego kształcenia i rozwijania, jestto popęd gwałtowny jaki jej nadała natura i dotychczasowe wychowanie,- aby się oprzeć tej sile on sam jest za słaby, cała jego chęć ulegnienia widokom i woli rodziców nic tu nie może, byłoby to wprowadzić sprzeczność i niezgodę w iego własną istotę wewnętrzną. Nie lepiejże jest zostawić jeszcze parę lat czasu aby się umysł jego nieprzeszkodzenie rozwinął i uspokoił przeco stanie się zdolniejszym pogodzić swoje ulubione zajęcia z praktyczniejszymi zatrudnieniami, to jest z takiemi które chleb dają, a których chwycić się każe późniejsza rozwaga i oględność. Dwa lata czasu nie mogą Panu w zamysła ch Jego tak wielkiej czynić różnicy abyś jej nie mógł poświęcić dla spokojności swojej, dla spokojności syna a może i dla dobra ojczyzny. Wszakże tyle poświęcamy dla niej bez żadnych osobistych korzyści, poświęcamy jej krew i życie dziecinnaszych a nie chcielibyśmy poświęcić ich zdolności? Wierz mi Pan że nie chcę podchlebiać i że nie zgadzałoby się zwodzenie z harakterem mojem, ale według dotychczasowych moich postrzeżeń uważam w synu Pańskim niepospolite talenta, może nawet zarody przyszłej chluby rodziców, zaszczytu rodziny i narodu. Przyszłość to tylko okaże czylim sam nie był zwiedziony, ale nie odbierajmy mu tego czym go obdarzyła Opatrzność; wie ona najlepiej do czego ludzi przeznacza i jakiemi drogami ich prowadzi.- Nie mogę tu także pominąć godną wszelkich zaleceń uległość dla nieprzytomnych nawet rodziców i umiarkowanie z jakiem mi syn pański opowiadał o sprzeczności Ich zamiarów z jego dotychczasowymi zamiarami,- ta zacność serca i szlachetność uczuć synowskich ujęła mnie więcej jak wszystkie ozdoby umysłu i w moim synie takich sobie życzę.-

Nie śmiem się dalej wciskać w postanowienia pańskie i Jego plany. Uczyniłem już wszystko czego wymagała po mnie słuszność i nieobojętna życzliwość. Chciej Pan przebaczyć, jeżeli osądzisz że nie do swojej mieszałem

się rzeczy, a ja zaś pewny jestem iż cokolwiek Pan uradzisz w roztropności swojej, będzie to zawsze zgodne z rozsądkiem i uczciwością prawego obywatela i Ojca.-

----

Uw.: Urywek ten, bez tytułu i podpisu pisany pismem Leszka Borkowskiego, jest prawdopodobnie brulionem listu jego do ojca Kornela Ujejskiego, jaki, wzgl odpis jego, dał Kornelowi Leszek. /Być może że redagowany pospólnie/. Oryginał w archiwum medyckiem.-

Kornel Ujejski

Do Ludwika Wolskiego

O Mieczysław Pawl

Kochany Ludwiku!

Niebędąc pewnym czy doszła się moja odpowiedź na Twój list z końcem kwietnia pisany, załączam kartkę pocztową za której okazaniem odbierzesz ją z poczty lwowskiej, jeżeli tam przypadkowo zaległa. - Mój drogi, chociaż dużo jesteś młodszym odemnie, Twoja dowiedziona dla mnie przyjaźń daje mi odwagę zatrudnić Się moim losem [w sposób bardzo poufny. Otóż wiedz o tem, że po opłaceniu długów, nic mi już z mego majątku nie zostaje. Z pożyczanym groszem iść na nową choćby korzystniejszą nawet dzierżawę niepozwala mi sumienny wzgląd na obecne czasy, w których każdy prawie dzierżawca tracić musi. Dóm mój więc rodzinny musi iść w rozsypkę, bo go utrzymać własną pracą nie mogę.. Żaden z moich braci nie jest tak bogatym aby mógł łożyć na utrzymanie całego mego domu. Moja biedna żona nie zniesie zaś ubóstwa i ciągłego niedostatku... -

....

..Tańcio dorasta - ubogi sam tylko mogę się zająć jego wychowaniem - do tej pracy niezbędną jest swoboda, którą, dla tak wielkiego celu choćby z wydarciem własnego serca, zdobyć mi potrzeba. -

Bóg mi dał serce czułe i miękkie, ale dał mi oraz potężnego ducha. Przeszedłem boleści i walki o jakich się nie śni filozofom. - Und ich hab es doch getragen, aber fragt mich nur nicht — wie? -

Silne powziąłem postanowienie podzielić się z nią dziećmi i rozłą-

czyć się z moją żoną - aż do czasu]......................

Szukam kąta dla siebie i dla Tania - i w tem możesz mi być kochany Ludwiku pomocnym. Zobacz się z Pawlikowskim; jeżeli go niema we Lwowie, dojedź do niego - (takiej sprawy nie można listem załatwić.) Spytaj go - czy może mi ofiarować w Medyce jaką osobną izdebkę może przy którym budynku oranżeryjnym [i skromny wikt dla mnie i dla mego dziecka. Nie jestem całkiem bez funduszów, na wszystkie inne drobne potrzeby wystarczą mi one, a nawet i wikt (jeśliby to było z dogodnością dla Mieczysława) mógłbym sam najmywać u którego z jego oficialistów.]

Wiele względów ciągnie mnie do Medyki, - najprzód towarzystwo z wyższym człowiekiem którego pokochałem a który także nie bez przyjaznego uczucia dla mnie - potem ogród i biblioteka - a najbardziej wielka russowska żądza samotności, którą jedynie w okolicy całkiem mi nieznanej znaleźć mogę.....................................

24-go czerwca kończy się moja dzierżawa - na kilka tygodni przed tym terminem muszę już wiedzieć gdzie się obrócę. O szybkie rozwiązanie podanej Ci kwestyi, bardzo Cię proszę. Spieszaj, spieszaj, niech syn człowieczy wie już o tym kamieniu na którym ma głowę złożyć. - ....

Ściskam Cię serdecznie i czekam, czekam, czekam na odpowiedź

Twój szczery przyjaciel

KUjejski

Podlipce 24/5 57.-

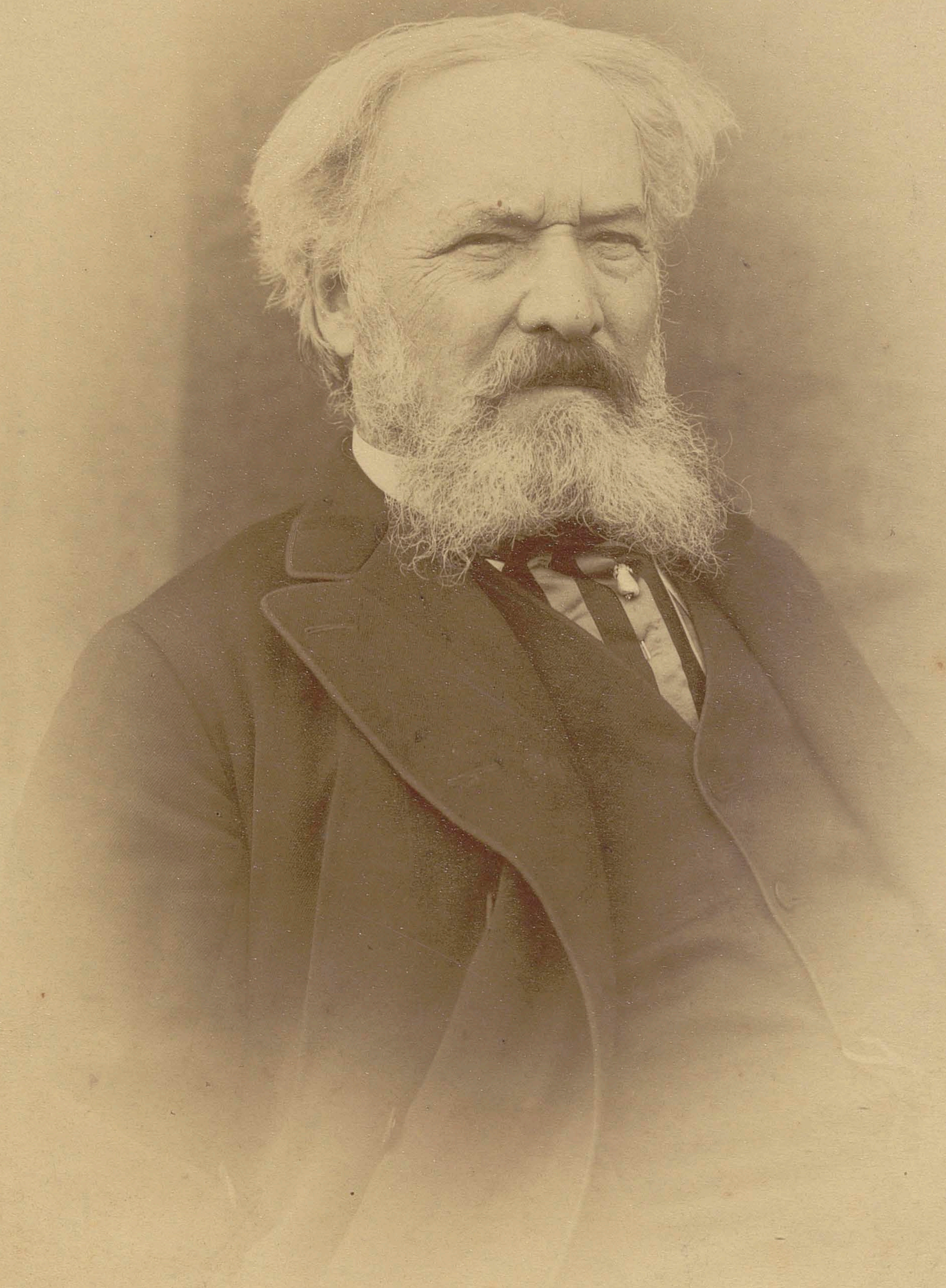
I B / 30 t)

6 fotografii

Kornel Ujejski
w późnym wieku

~~6 1/2~~

←――――――――――→
7 cm





Kornel Ujezdi
vyjel Dr. Arnolda Peuthera
fotomarce na Storožce ve
září r. 1892.

jsz ovol noradi cenné nekolo

88

k zálledu!

7 cm

Karel Vyzyki

modelovoda z nadsy

Waneka Mladusky



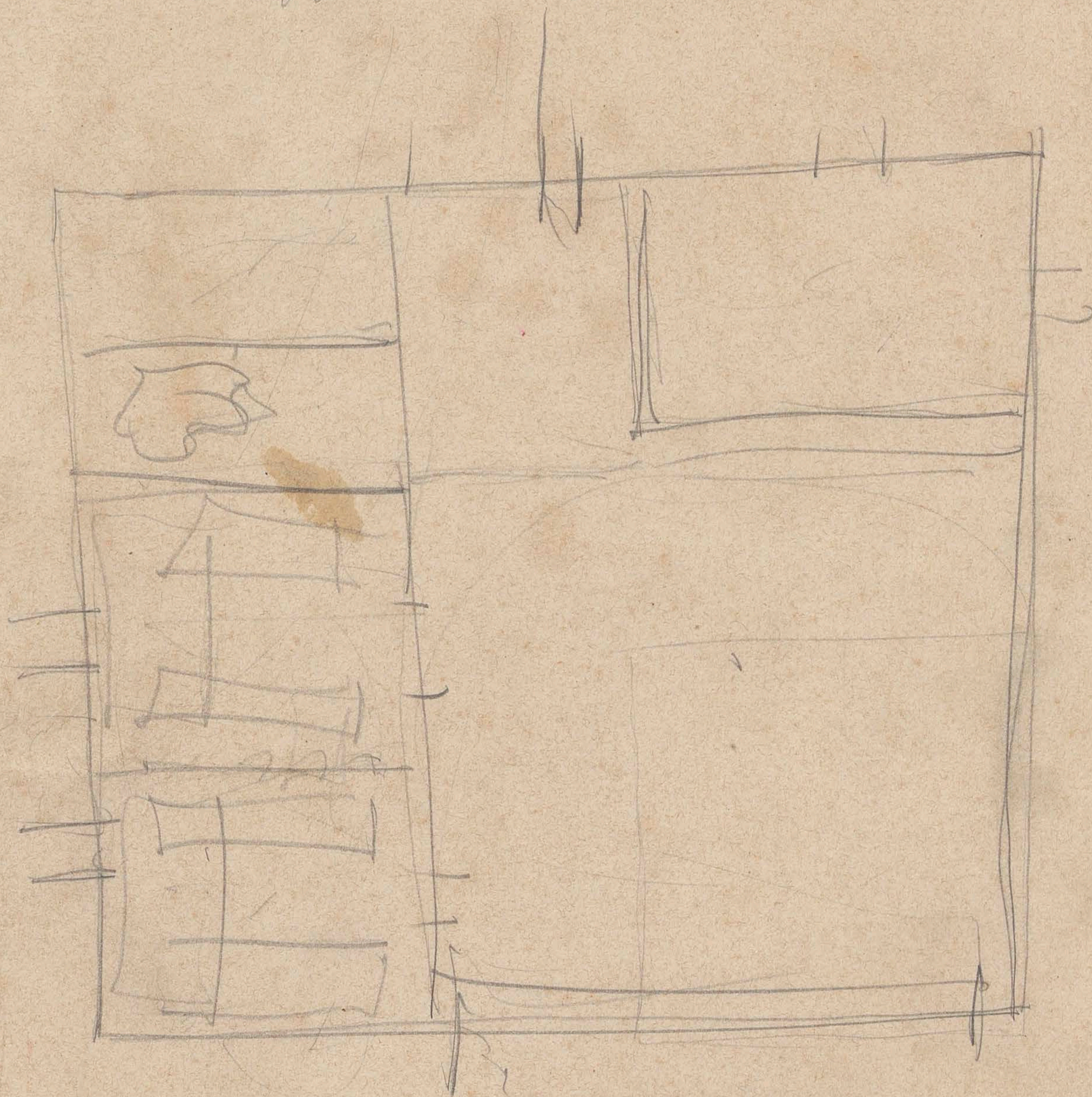
89

79

Wizerunek Ojca Kornela Ujejskiego - Erazma

xxxx

22



1:500

Erazm Ujejski

1000

1000

1000



7 cm.

P-a Współczesny



Grób Kornela Ujejskiego
w Pawłowie
fot. zdjęta z r. 1916.

91

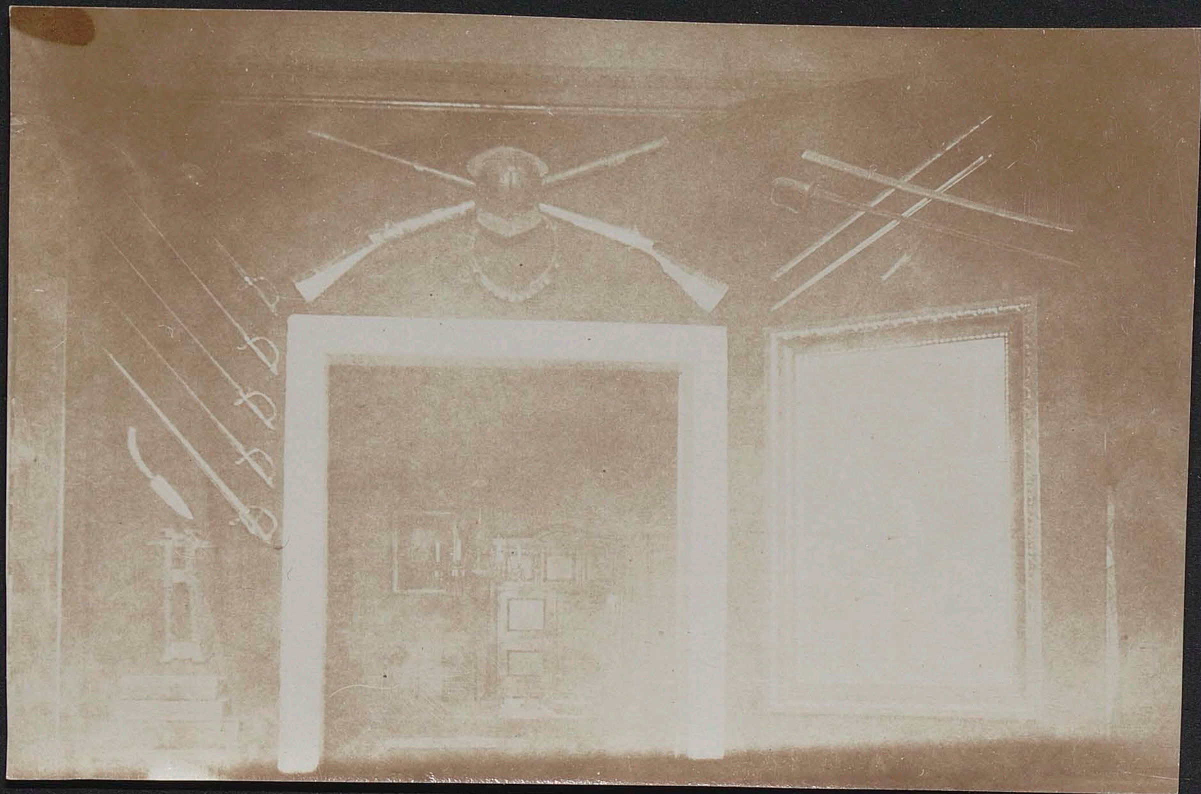


Brama cmentarna
w Pawłowie.
fot. zdjęta w r. 1916.

Fotografie zbrojowni
ś.p. Kornela Ujejskiego

obecnie w posiadaniu
Jego bratanka
Stanisława z Rupniowa Ujejskiego
w Zaciszu
w powiecie Husiatyńskim
na Podolu.

1336

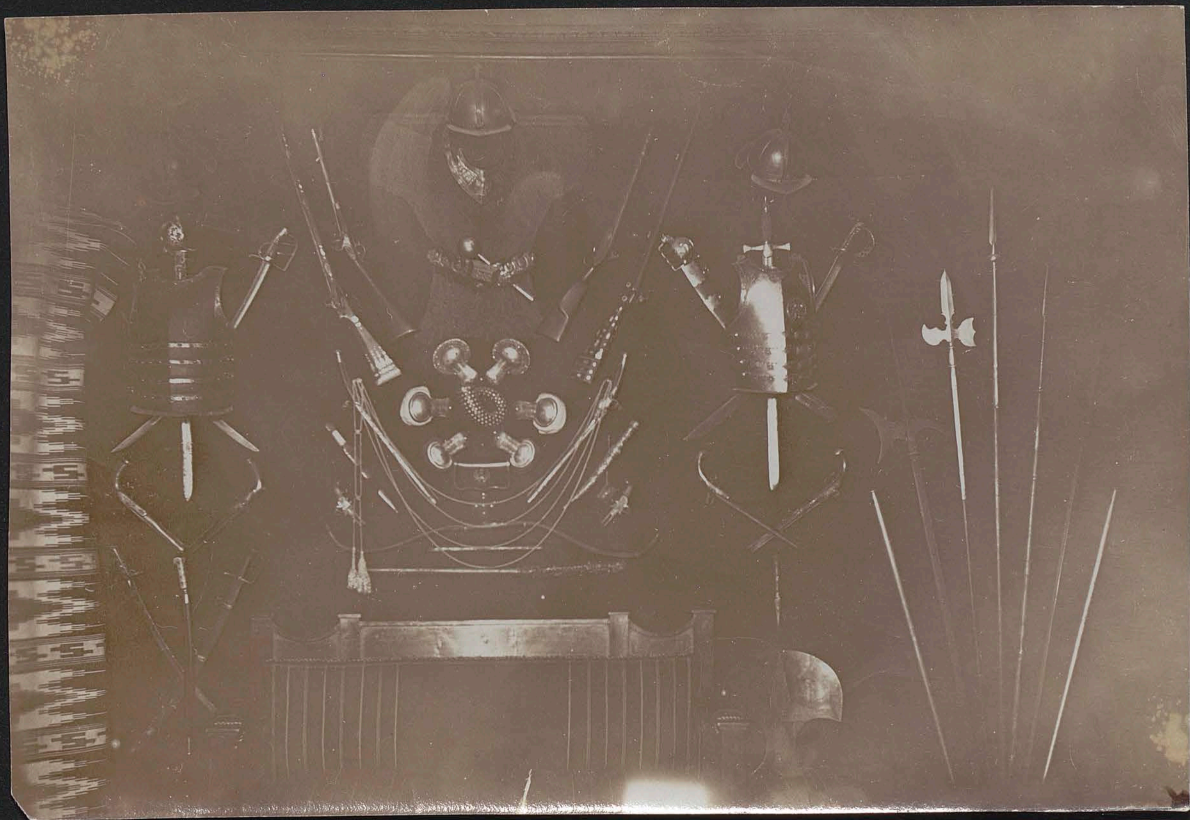




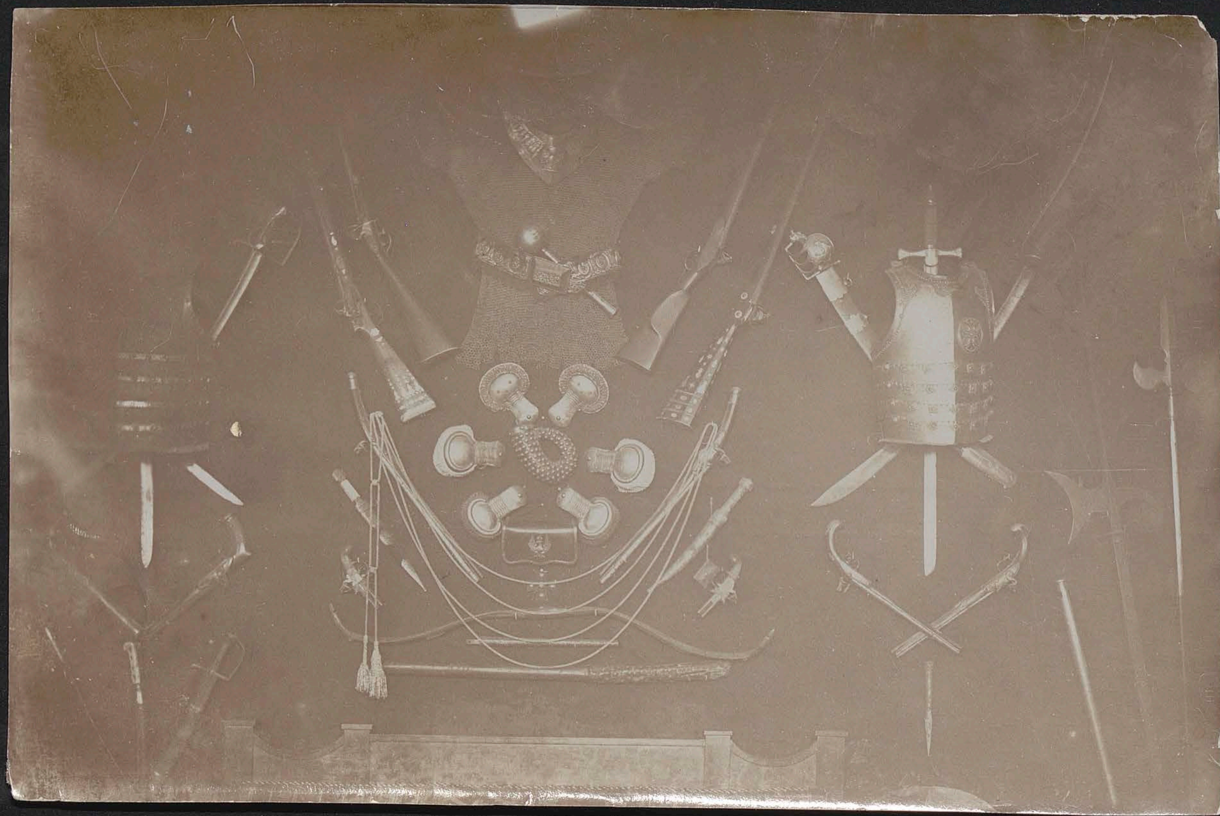
1341

218c

95



Fotografia zbrojowni
ś. p. Kornela Ujejskiego
obecnie w posiadaniu Jego bratanka Stanisława
z Kupniewa Ujejskiego
w Pacisru
w powiecie Husiatyńskim
na Podolu.



~~1357~~
97



1338

